1863 – 1864

1

Wspomnienia z 1863–4 roku.

Bardzo lubię stare pamiętniki bez żadnej pisane pretensyi. Jeżeli nic w nich ważniejszych zdarzeń, to przynajmniej społeczeństwo ówczesne maluje się rzetelnie, niemal wielki żywo stają przed oczyma czytającego. Każdy, według mnie, powinien pisać dla siebie, dla bliskich, a jeżeli ma po temu zdolności – to i dla ogółu. – Takie kroniki są, w odległej przyszłości, bardzo cennym dla historyka materyałem. Nie chcę mówić że to co piszę będzie miało jakieś znaczenie, jednak będąc świadkiem ważnych w moim kraju wypadków, a nawet, lubo małoznaczącą, odegrawszy w nich rolę, postanowiłem je opisać, o ile widziałem i pamiętam.

Wypadki które poprzedziły powstanie z 1863 r., stan umysłów w kraju, działalność hr. Andrzeja Zamoyskiego i mrgr. Alexandra Wielopolskiego, nie

będą dla potomności straconemi. Opisy tej epoki są liczne i wyczerpujące, bo oparte na dokumentach dla mnie niedostępnych, albo takich przynajmniej których nie mam pod ręką. Ostatecznie „Aspiracye porozbiorowe narodu polskiego" streściły w sobie wszystko co pod tym względem powiedzieć można. Chcąc więc pisać o tym samym przedmiocie, musiałbym ponimowolnie przepisywać całe ustępy z tego poważnego dzieła, co według mnie byłoby zupełnie niepożyteczną pracą. Dla tego więc pamiętnik mój rozpocznę od chwili kiedy po coraz burzliwszych manifestacyach, nastąpił zbrojny wybuch, t. j. od dnia 23 Stycznia 1863 r. —

Komitet centralny narodowy, stojący na czele stronnictwa ruchu, został jak to zwykle bywa, prześcigniętym przez rozgorączkowanych jego własnemi działaniami zapaleńców, którzy nie chcąc iść do wojska rossyjskiego opuścili War-

 2

szawę i udali się w sąsiednie lasy. Tak zaskoczony zebrał się na radę, skutkiem której było postanowienie, aby poprzeć ten zawiązek powstania. Komitet centralny narodowy, przekształcił się na „Rząd narodowy tymczasowy" i nie ujawniając się ~~tak~~ równie jak dotąd, wydał rozkaz swym zprzysiężonym uderzyć we wszystkich punktach na wojska rossyjskie. Zamach został wykonany, lecz się nie udał. Rząd narodowy: w proklamacyi swej wyrzekł, że kijem trzeba zdobyć karabiny, a karabinami armaty; rzeczywiście broni, prócz niewielkiej ilości strzelb myśliwskich które udało się przed poszukiwaniem rządu ukryć, nie było żadnej, tylko kosy i piki. W niektórych miejscach udało się zadać pewną klęskę nieprzyjacielowi; w innych powstańcy zostali rozproszeni; w innych jeszcze — z powodu niestawienia się na czas wielkiej liczby spiskowych, nie przyszło do napadu; nigdzie jednak rezultat nie został osiągnięty, gdyż nigdzie

wojska nie rozbrojono. —

Tak więc, dnia 23 Stycznia 1863, kraj cały obudził się w nowem zupełnie położeniu. Kość była rzucona, wojna całej rossyjskiej potędze wypowiedziana, pozostawało ją podtrzymać, zadanie jeżeli nie niepodobne, to przynajmniej wyjątkowo trudne. Nie będąc wojskowym, trudno mi jest ocenić, czy powstanie mogło było odnieść tryumf nad wojskami regularnemi. Zdaje mi się jednak iż przy zmianie sposobu wojowania, przy ulepszonej i dalekonośnej broni, jest prawie niepodobieństwem aby kosa lub pika w ręku niewprawnego człowieka mogła mierzyć się z karabinem będącym w ręku żołnierza doświadczonego i pewnego siebie. Jeżeli to nie jest prawdą ostateczną, jeżeli nawet przy tak uderzającej różnicy może wziąść górę powstanie, to chyba tylko wtenczas gdy naród cały rzuca się do broni jak jeden człowiek i jeżeli nie

pokona w otwartym boju najezdnika, to przynajmniej uczynić mu pobyt w kraju niemożliwym, szkodząc mu wszelkiemi sposobami. W naszem powstaniu 1863 r. nie było żadnego z warunków powodzenia, nie było broni, nie było wojskowych, i nie było udziału wszystkich warstw ludności; powstanie więc nie mogło liczyć na powodzenie, wyjąwszy w razie interwencyi mocarstw zagranicznych. Przy siłach i środkach tak nierównych, pierwszy jedynie napad mógł mieć powodzenie; gdy to chybiło, niepodobna było przypuszczać odniesienia jakichkolwiek korzyści nad nieprzyjacielem już obudzonym i czujnym. — Zdaje się że i Rząd nar: tym: nie miał nadziei zwycięstwa a liczył jedynie na pomoc obcą, choć odezwy jego, których było bez liku, brzmiały iż na swoje jedynie siły rachować należy. Dowodem tego, według mnie, było nadanie powstaniu, odpornego jedynie kierunku, wyczekiwanie, unikanie potyczek, i nie gromadzenie się w większe massy. —

Usposobienie kraju Tatew było przewidziane. Po wybuchu powstania natychmiast ludność miejska przyjęła w niem udział. Właściciele ziemscy pozostali do czasu biernymi, lubo nie obojętnymi widzami dramatu, odgrywającego się w ich oczach; włościanie zaś do końca na żadną nie przechylili się stronę, wyczekując ostrożnie. Z mieszkańców wsi pozostali więc tylko oficyaliści, służba i nie liczny proletaryat którzy wzięli udział w walce. —

Po pierwszem niepowodzeniu, oddziały powstańcze schroniły się w lasy i zaczęły pomnażać tymi, którzy nie stawili się na pierwsze wezwanie. Wojskowe komendy, czy to mając przesadzone wyobrażenie o siłach polskich, czy też aby przygotować się do zadania ciosu stanowczego, prawie nie ścigały powstańców; zima przy tem nadzwyczaj lekka sprzyjała ukrywaniu się w lasach. —

Dość że upłynęło kilka tygodni, a powstanie

nie tylko nie upadło, lecz wzmocniło się nawet ku wielkiemu zdziwieniu ludzi zimniej lecz dalej widzących. Zaczęły się utarczki po całym kraju, małe ale ciągłe; powstańcy rozsypywali się i znów zbierali, czasem uderzali na mniejsze oddziały, niekiedy zadając im nawet dość znaczne stosunkowo klęski. — Szlachta, prócz nielicznych wyjątków, nie miała udziału czynnego w walce, była jednak pomocną dostarczając żywność, ubranie, broń i wiadomości. Lubo tak małe było prawdopodobieństwo pomyślnego rezultatu, skoro jednak kość została rzucona, prawie wszyscy, wyjąwszy włościan, wzięli się do popierania rozpoczętego dzieła. Ten słaby promyk nadziei stał się wszystkiem, co wówczas kraj mógł widzieć w przyszłości; był to pewien rodzaj nadziei zdesperowanych. — ~~[illegible]~~.

Zaraz po wybuchu, Rząd nar: tym: wydał proklamacyę uwalniającą włościan od opłaty czynszu właścicielom, za co ci ostatni mieli być wynagrodzeni. To czego nieuczyniono w chwili upadku Rzpltej, ani w r: 1830. t: j: wtedy, kiedy czyn ten mógł był odnieść pewien skutek

to samo przeszło teraz prawie niepostrzeżenie. — Włościanin polski jest zanadto ostrożny i niedowierzający aby akt podobny ze strony rządu, którego nie znał, ani mógł widzieć, popieranego przez oddziały zbrojne nie mogące dotrzymać placu wojskom regularnym, miał go zachęcić do rzucenia się w walkę tak nie równą, do której nie popychał go bodziec najważniejszy: miłość ojczyzny. To też jak przed, tak i po ogłoszeniu aktu uwłaszczenia, przez agentów Rządu narodowego, lub przez naczelników zbrojnych oddziałów, włościanie nie zmienili w niczem swej biernej postawy, pomimo że żaden chyba właściciel ziemski nie upominał się o czynsz powyższym dekretem skassowany. Jak zwykle bywa, tak stało się i w tym wypadku, gdy darowujący potrzebuje łaski lub pomocy obdarowanego. Włościanie pojmowali instynktowo że wyzyskując nie nie stracą, że tak liczna warstwa ludności jest potrzebną każdemu rządowi i że jeżeli państwo polskie

się odrodzi, to zwolnienia ich z czynszów nie zapadnie, choćby się w niczem do sprawy narodowej nie przyłożyli, a również jeżeli powstanie zgnieciionem zostanie, to rząd rossyjski na nich zechce się oprzeć i ująć ich sobie. —

Z wiosną powstanie polskie rozszerzyło się i do dalszych prowincyi. Litwa, Białoruś, Inflanty, Wołyń, Podole, Ukraina dały znaki życia aby przekonać Europę że i one są polskiemi ziemiami. Galicya i Poznańskie nie pozostały również obojętnemi; oddziały powstańcze formowały się lub wzmacniały w tych dwóch ostatnich prowincyach i wkraczały do Królestwa lub na Wołyń. Broń, umundurowanie i amunicya, również z tamtąd płynęły.

Powstanie z początku zostało przyjęte z niedowierzaniem przez Europę; nie wróżono mu dłuższego życia jak parę tygodni, gdy jednakowoż te, równie jak kilka innych minęły, poczęto się nami zajmować. Rząd francuzki pierwszy dał inicyatywę wezwawszy Anglię i Austryę do przedstawienia wspólnej noty gabinetowi St Petersburgskiemu, aby dawszy stosowne

ustępstwa, położył koniec walce i nieszczęściom Polski. Do uczynienia tego kroku, przyczyniły się w znacznej części Prussy, które zaraz w początkach powstania, zawarły z Rossyą kartel wzajemnego wydawania sobie schwytanych polskich powstańców, strzeżenia granic, możności przechraczania ich nawet w razie potrzeby i t: d:. — Dla tego też powstanie polskie daleko łatwiej się trzymało na pograniczach Austryi gdzie rząd przez szpary patrzał na działania agentów polskich. Zaproszenie rządu francuzkiego nie miało skutku, Anglia i Austrya, jakby nie chcąc dotrzymać czego żądają, nie zgodziły się na podanie noty wspólnej, postanowiły tylko przedstawić noty swoje jednocześnie z francuzką. Ta niezgoda, osłabiła wiele ich doniosłości, reszty dokonał ton w jakim były napisane, szczególnie angielska. Widocznem było że rząd rossyjski nie przyjąwszy uwag trzech rządów zachodnich, nie narazi się na żadne trudności; tak też zrobił i to w sposób niezmiernie stanowczy a nawet szorstki. —

Niepodobna opisywać wypadków wojennych w tego rodzaju partyzantce, ograniczę się więc na przytoczeniu tego tylko co widziałem, lub o czem z pewnych źródeł mam wiadomość.

Początkowo powstanie polskie rozwinęło się najsilniej w Krakowskiem i Sandomierskiem do czego sprzyjała bliskość Galicyi. Langiewicz, były oficer artylleryi pruskiej, potem jeden z towarzyszy Garibaldego, na czele oddziału liczącego podobno do 10.000 ludzi stoczył w tych okolicach kilka bitew, jak na te okoliczności dość szczęśliwych. Potrzeba było pokazać narodowi człowieka, aby obudzić pewne zaufanie; więc Rząd narodowy uchwycił się Langiewicza i mianował go Dyktatorem, przez co ujął sobie szlachtę obawiającą się Mierosławskiego i jego czerwono-demagogicznych zasad, lecz zdaje mi się, zaszkodził tem samem Langiewiczowi. Powstanie miało nareszcie głowę widomą, o nią więc skierowały się pociski rossyjskie. Langiewicz pomimo dzielnej obrony przyparty został do granicy galicyjskiej, a nareszcie przeszedł ją zosta-

wiając swą komendę. Czyn ten bardzo złe sprawił wrażenie i różnie był tłomaczony. Czy Langiewicz nie widząc możności pomyślnego rezultatu chciał się usunąć od udziału w powstaniu; czy, jak inni twierdzili, widząc że główne siły nieprzyjacielskie przeciw niemu są skierowane, umyślił potajemnie przerznąć się osobiście w Lubelskie, aby tam podnieść ducha i usiłowania Rossyan rozdwoić, — tego nie wiem. W pierwszym razie opuszczenie ludzi którzy mu się powierzyli byłoby zaiste czynem godnym potępienia, tem więcej że konieczności nie było, skoro pozostały oddział, choć w części zdołał się przedrzeć w głąb kraju przez otaczające go siły, wielu jednak w skutek zniknięcia wodza uciekło do Galicyi. — Myśl zjawienia się w Lubelskiem mogła być dobrą, lecz należało mianować zastępcę, przemówić do żołnierzy by nie dać pozoru ucieczki. — Bądź co bądź z aresztowaniem Dyktatora przez Austryaków ustały gromadniejsze

działania i stanowczo w całym kraju wojna przybrała charakter partyzantki. —

Powstanie na Rusi gdzie odznaczył się Różycki syn weterana z 1831 r. było krótkotrwałe; lud nieprzychylny pomógł rządowi do jego stłumienia. — Tak samo rzecz się miała z Inflantami, gdzie wybuch rozpoczął się od zabrania dość znacznego zapasu broni — i z Białorusią. Pozostało więc jedynie Królestwo, Litwa i Żmudź gdzie trzymało się powstanie, jeśli nie w nadziei zwycięstwa, to przynajmniej dla zmuszenia Europy do zajęcia się sprawą Polski tak uporczywie dobijającej się o swoje prawa. —

W maju rząd rossyjski postanowił spróbować nowego środka dla położenia kresu powstaniu. Ogłoszoną została amnestya dla tych którzy broń złożą w Królestwie, nie mówiąc o Litwie. Prawa dane Królestwu miały być zachowane. Krok ten nie odniósł skutku, przeciwnie, tłómaczono go sobie na korzyść powstania, mniemając że wywołało go zagrożenie in-

terwencyą przez zachodnie mocarstwa. Pojedynczy powstańcy schwytani z bronią w ręku korzystali z amnestyi, gdyż tłomacząc się że szli właśnie do władz wojskowych aby im broń złożyć byli wolno puszczani, dla wzbudzenia zaufania w szczerości intencyi rządu, lecz przy sposobności znów łączyli się z oddziałami partyzanckiemi. —

Dotąd nie miałem udziału w powstaniu, a raczej taki tylko, jaki miał każdy z właścicieli ziemskich t: j: dawanie żywności, koni, pieniędzy i przesyłanie wiadomości. Powstanie zastało mnie niewtajemniczonego w spisek; jak większa część właścicieli ziemskich podzielałem opinie „Dyrekcyi" t: j: władzy stronnictwa umiarkowanego, i byłem przeciwny wybuchowi. Długo nawet nie widziałem w mym domu liczniejszego oddziału powstańców, aż dopiero przed Wielkanocą trafili oni do mego ustronia. Bawił wtenczas u mnie ś. p. mój Ojciec i był cierpiący, gdy przed ganek zajechało kilku

jeźdźców. Był to Lewandowski, emigrant, niegdyś wojskowo służący w 1848 r. w Węgrzech, potem oficer belgijski. Wszedłszy do domu oznajmił mi że oddział jego nadchodzi i polecił przygotować dlań żywności. Pamiętam dobrze mój kłopot czem nakarmić 300 ludzi, a zwłaszcza w czem strawę dla nich przyrządzić. Kazałem zabić krowę, nadeszły obozowe kotły i powstańcy sami poczęli gotować krupnik. Dzień był słotny, wszystko kryło się pod dachy. Szczupły mój domek zaledwie naczelnika i jego przybocznych pomieścił, inni stali w oborze stajni, stodole i nie skończonym zaledwie pod dachem, domu folwarcznym, w którym pozakładali ogniska ciągle na dworze gasnące. — Uzbrojenie składało się z małej liczby karabinów, reszta w połowie miała ~~miała~~ strzelby myśliwskie, w połowie zaś kosy. Nad wieczorem dano znać że słychać strzały armatnie w stronie północnej. Lewandowski kazał swoim być w pogotowiu i wysłał rekonesans. W godzinę lub dwie zjawiło się kilkunastu konnych

z oddziału Lelewela który miał spotkanie pod Jedlanką o 2 mile i cofał się w tę stronę. Jezdnici, jak mówili zostali odcięci, a zapewne uciekli. W parę godzin nadszedł oddział konny Zakrzewskiego do 100 koni liczący z wiadomością, że nieprzyjaciel nocuje o 1½ mili w Sosnowicy. Postanowiono go zaatakować w nocy. Kilkudziesięciu strzelców na furmankach oraz ze 100 konnych ruszyło do Sosnowicy w deszcz i po ogromnem błocie. Była tam strzelanina, strach wielki dla żydów tam mieszkających, zabito przytem jednego czy dwóch żołnierzy rossyjskich i powrócono do mnie po północy. Nazajutrz oddział wyruszył ku Włodawie, ja zaś w obawie aby ścigające go wojsko nie miało do mnie pretensyi o przyjęcie powstańców, a mając przytem Ojca cierpiącego i znużonego całonocnym niesmem i niepokojem, postanowiłem odwieźć Go do Lublina gdzie miał mieszkanie. Już dla nas zaprzęgano kiedyśmy spostrzegli tłum ludzi ciągnący ku wsi Woli

Wereszczyńskiej, byłem pewny że to pogoń rossyjska, okazało się że był to oddział Lelewela który do mnie nie wstąpił wcale. Od niego dowiedziałem się że wojsko nocujące w Sosnowicy wróciło do Kurowa z kąd było przyszło. — Lelewel, zwał się właściwie Borylewski i przybrał sobie jedynie nazwę niego krewnego, słynnego historyka, lecz bardzo wątpliwych zdolności męża stanu; nazwę wielce oryginalną dla partyzanta. — Takie było moje pierwsze spotkanie z powstańcami. —

Powiedziałem wyżej że z początku aż do wybuchu powstania, nie miałem żadnego udziału w ruchu, położenie moje jednak stawało się coraz drażliwszem. Nikt nie zniesie aby go posądzano o obawę; przytem zostającym w domu, zwłaszcza młodym, narzucano prawie gwałtem urzędy w organizacyi powstańczej, które wydawały mi się daleko przykrzejszemi, a mniej odpowiedniemi dla mnie jak służenie otwarte w wojsku powstańczem. Nie mając wiary w pomyślny skutek powstania, wolałem przyjąć w niem udział niż, jako organizator, zaciągać,

namawiać i narażać innych. Zupełnie nieczynnym niepodobna było zostać, nie-pozwalało mi zresztą na to przekonanie. Według mnie czas rozprawiania minął z dniem wybuchu; czy powstanie było silne czy słabe, obowiązkiem każdego Polaka było popierać je. Przychodziło mi na myśl prawo Ateńczyków że w czasie rozpraw nad projektem lub rozpadnięcia się kraju na stronnictwa, żadnemu obywatelowi nie wolno było zostać neutralnym. Roztrząsając moje sumienie i moje obowiązki znajdowałem wiele pobudek aby przerwać moją bezczynność. Zresztą uczucie miłości kraju wlane mi przez rodziców, kazało mi uważać możność walczenia za Ojczyznę, jako wielkie szczęście którego nie chwytać byłoby niegodnem. Tak więc urządziwszy jak było można moje interessa, dnia 15 Czerwca

1863 r. Zaciągnąłem się w szeregi powstańców. —

Blisko pięć miesięcy trwające powstanie, obaliło opinię jakoby nie można o swych siłach trzymać się dłużej jak parę tygodni. — Wprawdzie nie postąpiliśmy ani krok dalej, nie oczyściliśmy ani kawałka kraju z nieprzyjaciela, ale też i nieprzyjaciel jak dotąd, nie potrafił nigdzie zniszczyć organizacyi powstańczej, ani wyprzeć zbrojnych oddziałów. Trudno było przypuszczać abyśmy mogli zmusić nieprzyjaciela do opuszczenia kraju, można było jednak mieć nadzieję że i powstanie zgnieść się nie da; a ponieważ stan taki wiecznie trwać nie może, przeto dwory zagraniczne będą musiały energiczniej wystąpić, aby mu koniec położyć i choć w części zadowolić Polaków. — Takie było moje ówczesne rezonowanie. —

W nocy z 14go na 15ty Czerwca wyjechałem z domu wiedząc że oddział Krysińskiego obozuje

w Tyśmienicy. Rossyanie byli niedaleko, trzeba więc było ostrożność zachować aby się dostać do oddziału. Chcąc być rzeczywistą lubo małą pomocą oddziałowi, do którego wejść postanowiłem, wystarałem się o jaką-taką broń, tej bowiem więcej brakowało niż ludzi do jej noszenia. Porządnych strzelb myśliwskich nie można było zupełnie dostać, wszystkie były w powstaniu; karabiny jakie przychodziły z zagranicy, dostawiano wprost do oddziałów; ledwo więc u myśliwych kolonistów udało mi się kupić trzy pojedynki stare ale bardzo długie, z grubemi lufami, widocznie ze starych przerobione karabinów i bijące kulą na 200 przeszło kroków. Do tych strzelb kazałem dorobić bagnety i uzbrojony w jedną z nich, oraz w rewolwer który miałem w ukryciu od dawna, w towarzystwie strzelca

 11

mojego Franciszka, który już dawno miał ochotę życia wojskowego sprobować a teraz wziął drugą strzelbę i kindżał, zabrawszy trzecią pozostałą, wyruszyliśmy do Tyśmienicy bryczką. — Byliśmy zaopatrzeni w proch i pistony, lubo w niewielkiej ilości, kul zaś, które były rzeczą ważną bo nie łatwo było dobrać ich do kalibru naszych staroświeckich rusznic, mieliśmy tęgi worek. Przytem w mantelzakach umyślnie na ten cel sprawionych i zdatnych do noszenia na plecach, było trochę bielizny i wiele proszku perskiego. Ubrani byliśmy w sukmanki z grubego siwego sukna z zielonemi kołnierzami i wypustkami, czapki rogate z daszkiem, zielone i długie buty, t: j: podług formy przyjętej przez strzelców Krysińskiego. Pod sukmankami mieliśmy bluzy z szarego płótna, nader potrzebne przy spodziewanych upałach. Po długich manewrach, aby ominąć nieprzy-

jęcia, o świcie dostaliśmy się do Tyśmienicy, gdzie przez Krysińskiego zapisany zostałem ~~do~~ wraz z innym towarzyszem Franciszkiem, jako szeregowcy trzeciej sekcyi strzelców. Cały oddział liczył wtedy nie więcej jak 170 do 180 strzelców będących pod dowództwem b: oficera strzelców rossyjskich Miłkowskiego, taką samą liczbę kosynierów pod dowództwem Etnera byłego emigranta który miał udział w powstaniu poznańskiem 1848 r. — Szefem sztabu był Żebrowski b: oficer artylleryi rossyjskiej, a sekcyą moją dowodził podoficer Bartoszewicz b: wojskowy pruski. Prócz tego było około 50^ciu^ jazdy czyli dwa plutony dowodzone przez Borowskiego b: junkra ułanów rossyjskich i przez Kamińskiego mieszczanina z Mokobód.

Widywałem już powstańców i miałem

pewne pojęcie o organizacyi oddziałów; wszedłszy w skład jednego z nich, zdanie moje jeszcze silniej się ugruntowało. Na pierwszym wstępie zauważyłem to nad czem nie raz już miałem sposobność ubolewać — tak zwany sztab. — Owa klęska powstania zwana sztabem, składała się nie tylko z oficerów, ale ze wszystkich ludzi wyższego stanu; więcej nawet, bo ponieważ nie znało się pierwej wielu indywiduów, mogły więc one odgrywać rolę właścicieli ziemskich, urzędników i t: p: z dalekich okolic, aby być przypuszczonymi do sztabu. Przywileje sztabowców były iż jedli oni we dworach, podczas kiedy szeregowcy żywili się z kotła; że spali we dworze, podczas gdy tamci kontentować się musieli zimnemi budynkami lub gołem niebem; oraz że prawie nigdy nie odbywali służby obozowej. Nie mówię tu o oficerach, rzeczą bowiem było natu-

rałną że ci nie stali na pikietach, gdyż za to musieli czuwać kolejno w obozie lub objeżdżać placówki i pikiety, ale stosuję to do innych sztabowców nie oficerów. —

Rozdział taki nie mógł mieć dobrych skutków, wyradzał brak zaufania i przywiązania do przełożonych, czasem nawet stawał się szkodliwym dla samego sztabu, był bowiem wypadek w Lubelskiem że naczelnik małego oddziału jazdy nocujący we dworze z kilkoma sztabowcami został pochwycony w nocy przez Kozaków, gdy tymczasem szeregowcy będący przy koniach w stajni zdołali się przerznąć.

Prócz tych złych skutków pochodzących z oddzielnego życia i towarzystwa w sztabie były jeszcze inne a mianowicie zdarzające się przykre zajścia z obywatelami. Pojmuję że żołnierz ma prawo żądać

żywności dla siebie i konia, nie powinien jednak wymagać nic nad rzeczy konieczne. Sztabowcy jednak bywali czasem grymaśni, nie kontentowali się mięsem, kaszą i kartoflami i wódką, lecz żądali wykwintnych obiadów, wina i t. p. Często bardzo niepodobna było obywatelowi dogodzić im, gdyż częste przechody oddziałów obu stron walczących, mogły wyczerpać i największe zapasy; zresztą czyż ludzie przejęci patryotyzmem mogli myśleć o przysmakach? czyż naczelnik oddziału pojmujący swoje stanowisko, nie powinien był sam zwrócić uwagi obywatela częstującego go winem, że lepiej by pieniądze wydane na rzeczy zbytkowe obrócił na inne potrzeby kraju?

Oprócz wiktuałów niezbędnych, reszta powinna być zostawioną osobistemu uznaniu, gościnności i możności gospodarza. Najwięcej wymagającymi w tych rzeczach byli ludzie

zajmujący dawniej bardzo niskie stanowiska. Pamiętam jednego który niezmiernie się gniewał gdy mu podano barszcz i zrazy z kaszą — później dowiedziałem się że to ex-lokaj. —

Zaciągając się w szeregi powstańców postanowiłem koleżować z nimi jak żołnierz z towarzyszami broni, nie chodzić na sztabowe obiady, jeść to co jedzą wszyscy, sypiać ze wszystkimi i pełnić na równi z innymi moje nowe obowiązki. Później bardzo ~~sobie tego~~ rad byłem z tego postanowienia ~~winszowałem~~, a wdzięczność tych prostych ludzi za to że nie unikam ich towarzystwa, była mi dostatecznem wynagrodzeniem za stracone smaczniejsze obiady i wygodniejsze noclegi. Przekonałem się dowodnie, o ile większy wpływ mieć można na nich dzieląc ich trudy i niewygody i o ile one łżejszemi się zdają

gdy są ponoszone wspólnie. Prawda że nie każdy może miał tak zdrową i silną pomimo wątłego pozoru naturę. —

Prawie zaraz po mem przybyciu do Tyśmienicy, otrzymaliśmy rozkaz wymaszerowania ku Siemieniowi. Oddział Krysińskiego był ścigany i otaczany od pewnego czasu i tylko forsownym marszom winien był dotąd swoje ocalenie. W Siemieniu po posiłku dano znać o zbliżaniu się nieprzyjaciela, opuściliśmy więc to miejsce i dla większego pośpiechu aby ~~t~~ wyjść z otaczającego nas koła, w jakiejś wsi cała piechota siadła na furmanki, Zmieniliśmy furmanki w Planie i stanęli na noc w Żeliznie. Podwody były zatrzymane i nazajutrz przededniem ruszyliśmy drogę ku Białej, idąc przez kilkomilowe lasy. Należało przejść nie daleko Białej gdzie także stał oddział nieprzyjacielski i przerzucić się na pół-

nocną stroną Brzeskiego traktu bitego. Posuwaliśmy się wolno po drodze rozmiękłej od ciągłych deszczów, wązkiej i krętej, zmużeni ludzie drzemali na podwodach, słońce zaledwie wzeszło gdy awangarda nasza dała ognia. Linia nasza długo rozciągnięta, przerwana nawet w skutek zagrzęźnięcia jednej z furmanek której inne ominąć nie mogły, ludzie nie wyspani i zmużeni; wszystko to było powodem że oddział nie prędko się uszykował i że jedynie śmiałość jego, że tak powiem stanęła do bitwy. Pokazało się że wojsko z Biały uwiadomione widać o naszym pochodzie zrobiło na nas zasadzkę; gdyby nie straż przednia która najechała na nieprzyjaciela i strzałem nas ostrzegła, bylibyśmy śpiący wpadli w pułapkę. Rozstawiwszy się już pod ogniem nieprzyjaciela poczęliśmy się odstrzeliwać.

Środkiem nas szła droga, po niej puścili się cwałem kozacy, za nimi rzuciła się piechota; furmanki nasze poczęły uciekać i zrobił się zamęt zupełny. Trzeba się było cofać, odwrót wkrótce zamienił się w ucieczkę, chciałem się dostać w tę stronę gdzie widziałem naczelnika lecz już było zapóźno. Zresztą przyznaję się, że pierwsza moja próba ogniowa zrobiła na mnie silne wrażenie, uciekałem po krzakach, zewsząd grzmiał huk wystrzałów, kule świstały i ścinały gałązki w zaroślach; coraz to nowe hufce moskali wypadały z gęstwiny i z okrzykiem na naszą gromadkę się rzucały; kozacy uwijali się wszędzie. Nareszcie po półgodzinnej chyba ucieczce, nasz podoficer Bartoszewicz, ja i Franciszek znaleźliśmy się w gęstych zaroślach i strzałów już słychać nie było, lecz należało coś począć aby się połączyć z oddziałem. Zaczęliśmy więc iść w jednym, już nie pomnę jakim kie-

runku, lecz lasy bialskie mają wzdłuż i wszerz mil kilka, po paru więc godzinach niezmiernie strudzeni i głodni, postanowiliśmy spocząć aby na wypadek zachować siły. Wybraliśmy więc miejsce po temu, to jest dół zarośnięty nieprzejrzanym gąszczem łoziny i tam położyli wygodnie. Spaliśmy w ten sposób z parę godzin, gdy podoficer trącił mnie dając znak milczenia, usłyszałem stąpanie koni i głosy ludzkie a za chwilę rozpoznałem mowę rossyjską. Po przejściu tego oddziału, w jakie pół godziny ruszyliśmy dalej w tym samym co poprzednio kierunku. Po godzinie drogi spostrzegliśmy że las się przerzedza, niebawem ukazało się pole. Juześmy chcieli wyjść na nie, aby się zorientować, gdy doszedł nas głos trąbki, a wsłuchawszy się poznaliśmy rossyjskie sygnały, więc polowanie na rozbitków jeszcze nie ustało. Trzeba było zmie-

nić kierunek i brzegiem lasu opuścić to miejsce. Znów godzina drogi, aż nareszcie ukazała nam się wioska, lecz pytanie czy nie zajęta przez nieprzyjaciela. Pociągnęliśmy węzełki kto z nas pójdzie przekonać się o tem, los wyznaczył Bartoszewicza. Rowami, ogrodami dostał się on do jednej z chat i wkrótce ukazał nam w towarzystwie kilku ludzi nawołując nas. Wyszliśmy z ukrycia, była to wieś Leszczanka a w niej ośmiu naszych, między którymi chorąży ze swym sztandarem schowanym pod ubraniem. Posiliwszy się zrobiliśmy radę wojenną z której wypadło że Krysiński poszedł pewno na Dołhę, była to bowiem zwykła jego droga gdy chciał przejść brzeską szossę. Udaliśmy się więc w tym kierunku a w Danówce przypuszczenie nasze zyskało na prawdopodobieństwie gdyż widziano powstańców idących w stronę Dołhy. Wieczorem skończyły się nasze udręczenia, dognaliśmy Krysińskiego mającego

w Dołhy około 200 ludzi; reszta oddziału była widać w rozsypce. Tego samego dnia jeszcze przeszliśmy szosę i stanęli w nocy w Dziatkowskich a nazajutrz poszli w Łosickie i ukryli w lesie zwanym Florya, czekając by nieprzyjaciel ustał nieco w swych poszukiwaniach. W parę dni ruszyliśmy z tamtąd, przeszedłszy blizko Międzyrzeca doszli do Szaniaw pod Łukowem a z tamtąd po nad Wieprzem ~~ku~~ i Tyśmienicą ku lasom Parczewskim gdzie wedłag wiadomości miał się ukrywać Etner z częścią naszego oddziału. Jakoż połączyliśmy się z nim w tych lasach i po obrachunku pokazało się że kilku zginęło, kilku dostało się w ręce nieprzyjaciela, reszta była obecną.

Lasy Parczewskie są bardzo rozległe i często bywały nawiedzane przez powstańców a szczególniej dwa miejsca były ich zwykłem siedliskiem. Jednem z nich jest młynek

Prokop, położony tam gdzie że bory dotykają wielkiego stawu Buradowskiego otoczonego szerokiemi trzęsawiskami i łączącego się z jeszcze większym bo 1200 morgów mającym stawem Sieniecińskim; drugiem zaś miejscem jest tak zwana Altana i tu właśnie stanęliśmy. Jest to wśród lasów, plac odkryty około 30 morgów mieć mogący na brzegach którego znaleźliśmy namioty przez Etmera na nasze przybycie z gałęzi urządzone. Niedaleko było piękne źródło bardzo smacznej wody, uważane nawet za cudowne; kiedyś była tam podobno chatka pustelnika, ja jednak nie zastałem nic więcej jak zdrój porządnie oczyszczony, na dnie którego ustawiony był garnuszek pomiędzy kilkoma kamieniami a w garnuszku kilka sztuk drobnej monety; była to jałmużna dla nieznanego ubogiego który tu przybędzie. Skarb ten przez czas naszego pobytu znakomicie się powię-

kszył. — Pobyt w Altanie był jedną z przyjemniejszych chwil jakie miałem podczas powstania, nie stojąc bowiem we wsi żyliśmy wszyscy razem i familijnie, czas przytem był piękny. W dzień na otwartym placu odbywały się munstry, wieczorem brzegi lasu oświetlały się ogniskami przy których nasi gawędzili i śpiewali; chóry te liczne i wcale dobrze dobrane w ciszy wieczornej miłe sprawiały wrażenie. Przed udaniem się na spoczynek odśpiewywaliśmy „Wszystkie nasze dzienne sprawy", a później już tylko tentent koni zmieniających się na placówkach przerywał nocną ciszę; nazajutrz wschodzące słońce witaliśmy pieśnią „Kiedy ranne wstają zorze". — Tego spokojnego życia nie mącił nam nieprzyjaciel. Zapewne wiedziano w oddziałach rossyjskich o naszym pobycie, lecz wyprawy w tak obszerne lasy, nie przedsiębrano nigdy

pojedynczym oddziałem, to bowiem do niczego nie prowadziło. Powstańcy ukryci w lesie jeżeli się czuli na siłe mogli zadać klęskę a w przeciwnym razie bardzo łatwo unikali spotkania. Zapewne więc i wtenczas komendy nieprzyjacielskie układały się o jednoczesne wkroczenie różnemi punktami w lasy Parczewskie.

Nareszcie monotonne życie nasze urozmaicone zostało przybyciem około 20 jezdnych z komendy Lelewela; donieśli nam oni o klęsce pod Różą w Łukowskiem, oraz że Lelewel ze szczątkami oddziału z nami się połączy, jakoż nazajutrz przyjechał on do nas sam, bryczką. Był to człowiek średniego wieku i wzrostu, śniady, służył niegdyś jako ochotnik w wojsku Węgierskiem podczas wojny o niepodległość. Oświadczył on Krysińskiemu iż reszthi jego oddziału pod dowództwem Bardet'a ciągną ku nam i będą wcielone do naszej komendy, on zaś sam jedzie do Galicyi.

aby tam uzbroić nowy oddział i wkroczyć z nim do kraju.

Nazajutrz, opuścił nas rano a przed wieczorem nadciągnął Bardet na czele około 150 strzelców, 50 kosynierów i 30 koni, tak więc oddział nasz został wzmocniony. Bardet, który odtąd wiernie aż do końca powstania nam towarzyszył, był to człowiek już nie młody, lecz czerstwy i silny, cokolwiek awanturniczego i hulaszczego usposobienia, lecz dobry żołnierz; rodem Szwajcar, służył w legionie szwajcarskim na żołdzie króla Neapolitańskiego, później zaś był guwernerem w jednym polskim domu. Bracia jego mają w Warszawie znaną firmę ogrodniczą. Niedługo po tem zwiększeniu naszego oddziału, wyszliśmy z naszego dotychczasowego stanowiska i posunęli się na brzeg lasu ku Parczewowi. Nieprzy-

jaciel stał w tem miasteczku. Jazda nasza zaniepokoiła go i chciała wywabić ku lasom obsadzonym naszą piechotą; usiłowania te jednak spełzły na niczem, było tylko trochę strzałów w mieście i koło miasta, wystaliśmy rozsypani w tyralierkę, za nami, jako rezerwa, kosynjery ukryci w lesie. Nareszcie jazda nasza wróciła donosząc że nieprzyjaciel oddalił się w stronę Radzynia. Weszliśmy do Parczewa na spoczynek i posiłek. Zanim krupnik ugotował się w kotłach, wyprawiłem kolegom strzelcom mojej sekcyi wspaniałe śniadanie „à la fourchette" składające się z wódki, bułek żydowskich, śledzi, sera nibyszwajcarskiego i, piwa i cygar. Dla nas, leśnych ludzi, śniadanie w takiej brudnej mieścinie robiło ~~ta~~ ~~kie~~ wrażenie jakiego bym dziś doznał wchodząc do pierwszorzędnej Warszawskiej restauracyi. —

Manewrowaliśmy tak, jeszcze parę tygodni w

w powiecie Włodawskim, aż koło połowy lipca stojąc w Kapłonosach, otrzymaliśmy wiadomość że nieprzyjaciel w sile 4 rot zbliża się ku nam od Włodawy. Opuściliśmy folwark i posunęli się ku lasom niedaleko Wyryk. Gdyśmy przechodzili koło słynnej w tamtej okolicy dystylarni wódek hr. Zamoyskich w Suchawie; gospodarz tego zakładu, Szymański znany w tych stronach ze swego olbrzymiego nosa, gościnnie wyniósł co mógł na drogę; nie trzeba było długo prosić, pili wszyscy, a większa część zanadto, cały więc prawie nasz oddział był jak to mówią, pod dobrą datą. Stanąwszy więc na brzegu lasu niedaleko Wyryk i postawiwszy broń w kozły zasiedliśmy na spoczynek, a wszyscy prawie strudzeni i rozmarzeni trunkiem usnęli. —

Krysiński postanowił przyjąć w tem miej-

scu bitwę, jeżeli nieprzyjaciel szukać jej będzie.

Po godzinie oczekiwania zbudził mnie strzał naszej pikiety; strzały zaczęły się powtarzać zamieniane pomiędzy naszą jazdą a Kozakami. Lecz nie wszyscy zbudzili się lekko, wielu, większa nawet może część, spała silnie w skutek gościnności pana dystylatora. Oficerowie przebiegali szeregi i z pomocą niespiących budzili, lecz każdego trzeba było szarpać zanim oczy otworzył. Wtenczas zastosowałem do kilku zawziętych śpiochów, szczególny i nowy sposób budzenia, który mi blisko leżące mrowiska, na myśl nasunęły; — brałem wystraszone mrówki garściami i pakowałem śpiącym za kołnierz, inni zaczęli mnie naśladować, śmiech ogólny, nawet tych którzy byli ofiarami żartu, przyjął nasze usiłowania i wkrótce wszyscy byli na nogach wytrząsając jak można gryzącego nieprzyjaciela. —

Uszykowaliśmy się brzegiem lasu, przed naszemi oczyma jazda nasza ucierała się z Kozakami to ich podprowadzając pod nasze strzały to chwilowo ścigając. Za kozakami pokazywali się Dragoni. Piechota nieprzyjacielska starała się parę razy ruchem skrzydłowym wejść do lasu po za naszemi stanowiskami, aby nas wyprzeć na pole, lecz te zamiary nie mogły się przed nami ukryć, więc stosownie do nich zmienialiśmy pozycyę aby wstęp do lasu zagrodzić. Wreszcie oddział Dragonów 50-ciu koni liczący, obszedł nasze prawe skrzydło i zdążał do lasu w punkcie gdzie stali kosynierzy. Grundman który niemi dowodził, po obróceniu Etwera do innych celów, zebrał szybko swój oddział na brzegu lasu i zformował go w karabatalion. Dragoni rozwinęli się przed nimi i ruszyli galopem naprzód. Wewnątrz ka-

rabatalionu kosynierskiego, było kilku oficerów z bronią palną, ci więc na bliską metę dali ognia i ranili paru dragonów; kosynierzy zaś dotrzymali placu i kolumna najeżona kosami nie została rozbitą, a za nadejściem kilkunastu naszych strzelców, dragoni zaniechali ponowienia ataku.

Na tej próbie zakończyły się ruchy dnia tego, wojsko oddaliło się przed nadejściem nocy, a my którzy po każdem spotkaniu musieliśmy zmieniać stanowisko z obawy aby na głos strzałów nie nadeszły nieprzyjacielowi posiłki, cofnęliśmy się w głąb lasu i rozłożyli na spoczynek.

W tej utarczce towarzyszył nam pewien szwajcarski pułkownik, opatrzony swemi papierami, który od pewnego czasu przez ciekawość wędrował po kraju i bywał w oddziałach obu stron walczących. Przez matkę był on w połowie Anglikiem i w Anglii wychowany, miał też prawdziwie brytańską manię turysty, pod

czas utarczki. Choć kule świstały mu koło uszu, on był zajęty rysowaniem. Kilka dni jeszcze u nas zabawił; był to człowiek przyjemny, łatwego obejścia i wykształcony; rysował dobrze i twarze wybitniejszych ludzi, z większych ówczesnych wypadków, miał w swej teczce portrety. Nie pamiętam już jego nazwiska. —

Jedną ze szczególnych postaci w naszym oddziale był jakiś Lerbas, czyli jak kazał się nazywać kapitan de Lerbas. Jakiego był pochodzenia — nie wiem; wyglądał na żyda. Utrzymywał że służył w wojsku polskiem podczas wojny 1831 r. — wiek jego czynił to prawdopodobnem. Czynnością jego było dowództwo nad furgonami naszego oddziału i gospodarski zarząd w obozie. Pijak w całem znaczeniu tego wyrazu, miał on jednak pewien rodzaj talentu jako dowódca pociągów. Przez cały

czas jego służby nigdy nie udało się nieprzyjacielowi pochwycić ani jednego z jego wozów których miał cztery naładowane ammunicyą, ubraniem, żywnością, narzędziami kowalskiemi i t.p. Często przed bitwą Lerbas otrzymywał rozkaz oddalić się na nasze tyły, aby nie być pochwyconym; często był ścigany przez kozaków daleko większą mających chętkę na niego jak na samych powstańców, zawsze, po najgorszych drogach lub zupełnie bez drogi zdołał ujść i ocalić swoją komendę, która była znakomicie wyćwiczoną. Każdy sygnał jego świstawki rozumiały nawet konie i stosownie do tego, ruszały galopem, zawracały, stawały frontem obok lub wóz za wozem.

Człowiek ten stanowił komiczną stronę naszego oddziału. Na małym lecz dzielnym koniku uzbrojony w szablę, parę pistoletów, kindżał i cenną dubeltówkę, słowem jak arsenał chodzący,

poprzedzał on tee cztery wozy zaprzężone każdy w trzy dzielne konie, środkowy w hołoblach, boczne na przyprzążkach, aby w razie zabicia lub ranienia każdy z dwóch przyprzążkowych mógł być prędko odciętym. Stoczał on niejeden potyczki. Oprócz furmanów znajdowali się na wozach dwaj kowale, rusznikarz, kucharz oraz w przecięciu kilku chorych, lekko rannych, lub z poranionemi od marszów nogami; oni więc wszyscy podczas najszybszej jazdy utrzymywali ogień przeciw nieprzyjacielowi ścigającemu. Były wypadki że ginęli na wozach lub otrzymywali rany, że koń padł ugodzony kulą; nigdy jednak powtarzam furgony nasze nie dostały się w ręce nieprzyjaciela.

Po opisanych poprzednio wypadkach, obracaliśmy się w tej okolicy przez dni kilka i w tym czasie połączył się z nami kuzyn mój

Zdzisław Dunochowski, któremu Kruk mianowany przez rząd narodowy dowódcą sił zbrojnych województw Podlaskiego i Lubelskiego, polecił uformowanie oddziału jazdy. Przybył on do nas w kilkunastu koni, nie mogąc ze swym szczupłym pocztem utrzymać się nigdzie. —

Po kilku dniach stanęliśmy w Romanowie i zastali tam oddziały Zielińskiego i Jankowskiego z którymi już przedtem raz spotkaliśmy się w Uścimowie niedaleko lasów Parczewskich. Tym razem nie było to przypadkowe. Nieprzyjacielskie oddziały otaczały nas; naczelnicy więc którym udało się połączyć, chcieli uderzyć w jednym punkcie na ściskające ich koło i przerwać je. Dotąd nie byłem można powiedzieć w bitwie bo utarczka w lasach Bialskich, strzelanina pod Parczewem i Wyrykami nie mogły się za bitwy liczyć; te-

raz jednak czuć było w powietrzu zbliżającą się twardszą rozprawę. Podjazdy wciąż wyjeżdżały i wracały, mnóstwo prywatnych wiadomości naczelnicy otrzymywali, kuryerki goniły jedna za drugą. Między innemi przyszła wiadomość że za Bugiem rząd kazał tworzyć milicyę chłopską dla współdziałania z wojskiem przeciw polskim oddziałom. Oddział pierwszy takiej milicyi stał w Domaczewie wraz z małą ilością wojska. Trzeba było przerwać tak niebezpieczną organizacyę która gdyby się rozszerzyła, to jeżeli nie dla zbrojnych oddziałów ale dla agentów naszych i dostawców stałaby się niebezpieczną. Po naradzie Krysiński został wyznaczony w celu rozbicia tych zawiązków pospolitego ruszenia przeciw nam wymierzonego. Domaczew leży na prawym brzegu Bugu naprzeciw Sławatycz; z Romanowa mieliśmy tam 1½ mili i wyruszy-

wszy wieczorem stanęliśmy w nocy w Stawaty-
czach. Byli między nami ludzie znający dobrze
położenie Domaczewa, prócz tego dodano nam
przewodników. Od pewnego czasu nie było de-
szczów, Bug był płytki, we wskazanem miej-
scu przeszliśmy go w bród i w największej cichości
stanęli pod samem miasteczkiem Domaczewem.
Jazda nasza natychmiast obskoczyła miasteczko
i zajęła drogi; my zaś podzieleni na kilka
oddziałów z dodanemi przewodnikami z
różnych stron mieliśmy wejść do miasteczka.
Moja sekcya t: j: 3cia pierwszej kompanii
strzelców, pod dowództwem podoficera Bartosze-
wicza stanowiła jeden taki osobny oddziałek
koło 30 ludzi liczący. Według instrukcyi szli-
śmy przez łąki i krzewowe zarośla, potem
przez miejskie ogrody, dwojkami, przeskakując
przez rowy i drapiąc się przez płoty w naj-
większej cichości. Już byliśmy pod samemi

budynkami, gdy Bartoszewicz ujrzał coś podobnego do żołnierza stojącego na pikiecie, a noc była dość ciemna. Skinął więc na pierwszą dwójkę to jest Izbickiego litwina i mnie i gestem wskazał nam żeby się podczołgać i bez strzału tę wartę sprzątnąć. Zbliżywszy się poznałem że to nie żołnierz lecz drogowskaz, lecz w tej prawie chwili usłyszałem plusk wody i ciche wołanie mego towarzysza; Izbicki czołgając się wpadł w studzienkę trawą zarosłą, nie wiele mu to musiało zrobić różnicy bo i tak wszyscy byliśmy mokrzy co do nitki, gdyż przed chwilą przez Bug przechodziliśmy. Wyciągnąwszy go ruszyliśmy dalej gdy wtem Bartoszewicz przełażąc przez płot uderzył zamkiem karabina o kamień, strzał się rozległ i kula urwała mu palec u ręki. Wnet dały się słyszeć głosy w miasteczku a niebawem i strzały; już bez ostrożności bie-

gliśmy naprzód i znaleźli się na szerokiej drodze. Tu uderzył nas zbliżający się tentent koni; z nastawioną bronią oczekiwaliśmy gdy głos „naprzód" dał poznać że to nasi. Weszliśmy do miasteczka i stanęli według wskazówki porucznika Mikowskiego przy tylnej ścianie szeregu domów od strony ogrodów. Do domów tych nasi z innych oddziałów strzelali a z okien im żywy ogień odpowiadał. Mikowski zdał mi dowództwo sekcyi po Bartoszewiczu, lecz dotąd byliśmy bezczynni gdyż z naszej strony domy w których bronił się nieprzyjaciel nie miały okien, nie było więc celu strzelać do ścian, nie byliśmy również na ogień wystawieni. Po chwili jednak spostrzegłem że z naszej właśnie strony znajdują się przy tych domach drabiny, za pomocą których wdrapaliśmy się na dach jednego z domów zajętych przez nieprzyjaciela. Z tyczki wyjętej od fasoli i z chustki zrobiłem chorągiew

improwizowaną i zatknąłem ją na kominie, a wesoły okrzyk naszych ją powitał. Gonty wnet rozerwane zostały i znaleźliśmy się na strychu; pod nami grzmiały strzały. Po drabinie wpadamy do sieni, dwaj moskale spostrzegają nas i dają ognia lecz nikogo nie ranią, uciekają do izby i drzwi zatarasowują. Jednym każę drzwi wybijać, a drugim pułap odrywać. Wdzieramy się wśród strzałów do izby jednej i drugiej; nieprzyjaciel cofa się do sąsiedniego domu z tym komunikującego i barykaduje wejście. Zapalamy światło, jedni rozbijają barykadę, drudzy będący na strychu przez pułap próbują się dostać. W tem dochodzi mnie woń dymu gryzącego, każę więc wybijać dziurę w gontowym dachu i widzę że dom sąsiedni obejmują płomienie. Ogień szerzy się szybko i już nasz dom dosięga, każę więc

strych opuszczać i dotem jedynie pilnować aby się nieprzyjaciel nie wymknął. Przerażeni oblężeni żołnierze jedni wyskakują oknami i chcą probować ucieczki lecz padają lub schwytani, inni poddają się, kilku jednakowoż stało się pastwą płomieni, a mianowicie ci którzy ukrywszy się w głębokie kryjówki nie spostrzegli pożaru aż wtenczas kiedy już zapóżno było myśleć o ratunku. Walka ustała i nasi rzucili się do gaszenia ognia który wkrótce został opanowany; powstał on widocznie od strzałów. Dwa domy w znacznej części zostały spalone, Żydzi wrzeszczeli i co mogli wynosili na ulicę, więc trzeba było czuwać aby nasi nie dali się skusić i nie dopuścili kradzieży. Aby nie wywołać złego wrażenia Krysiński zachęcił nas do składki na pogorzelców która paręset rubli uczyniła, a potem rząd narodowy wypłacił jeszcze 10000 Złp. Straty nasze były dość

znaczne w stosunku do małej ilości nieprzyjaciela, gdyż mieliśmy 18 zabitych i rannych. Pochodziło to z tąd że cały nasz oddział około 600 ludzi liczący zamiast kontentować się jedynie otoczeniem miasteczka aby nie wypuścić nieprzyjaciela, wszedł do miasta i tłoczył się przy zdobywanych domach, tak iż więc każdy strzał rossyjski znajdował ofiarę w ściśnionym tłumie. Nieprzyjaciel pomimo słabych sił, bo żołnierzy było około 50^{ciu} bronił się uparcie, dopóki obrona była możliwą. Żywych wzięliśmy 8 czy 9^{ciu}. Kilkunastu było zabitych i kilkunastu rannych; kilku zginęło w płomieniach bo znaleźliśmy między kupami węgla i popiołu ślady ich, oraz popalane karabiny; mieszczanie mówili że dwóch czy trzech niechcąco pod zasłoną ciemności. Kilku kozaków zdążyło uciec, oficerów zaś dwóch dowodzących tym od-

działkiem było na herbacie w sąsiednim dworze, usłyszawszy co się dzieje nie mogli już wrócić do swych podkomendnych, nie wiem jak się potem przed swą władzą ze zmarnowania komendy tłomaczyli. Z tak zwanego opołczenia czyli milicyi której było 150 do 200 i którzy z początku przyjęli naszych ~~ogniem~~ kosynierów ogniem, zabitych i rannych było 12; herszt były wojskowy został powieszony, kilku namawiających do zbrojenia się przeciw Polakom ukarano cieleśnie wszyscy inni po poddaniu się, puszczeni wolno złożywszy poprzednio przysięgę że walczyć przeciw nam nie będą. Popa uwolniono również i nie zważano na jego zaprosiny na herbatę, pomimo że sami milicyanci wyrzucali mu że on ich głównie do wzięcia za broń namawiał. W zysku milicyjny kilkadziesiąt karabinów i drugie tyle

sztuk broni palnej różnego rodzaju zabranej opołczeńcom; żołnierzy wzięliśmy z sobą i dopiero w kilka dni zostali puszczeni. —

Po tej utarczce zostałem mianowany podoficerem 3ej sekcyi strzelców, na miejsce rannego Bartoszewicza, które to stanowisko już przez ciąg bitwy jako zastępca zajmowałem. —

Natychmiast wróciliśmy na lewy brzeg Bugu i w Sławatyczach stanęli na odpoczynek; przeprawa odbyła się jak poprzednio w bród, mieliśmy więc nową kąpiel. Tu u żydków posilaliśmy się czem było można, znalazła się szkaradna herbata, złe piwo, obrzydliwe wino i nieczysty miód, ten więc największy miał odbyt. —

Wypoczynek nie mógł być długi, trzeba było szybko łączyć się z pozostawionemi w

Romanowie Jankowskim i Zielińskim, gdyż oni lada chwila mogli być zaatakowani; ruszyliśmy więc do Sajówki i tam rozłożyli pod lasem. Tu znaleźliśmy Lerbasa którego kotły szumiały i wydawały smaczną woń krupniku, a tymczasem Krysiński z komunikował się z naczelnikami w Romanowie, ci posunęli się ku nam i zajęli drugi kraniec lasu. Po krupniku nastąpiła drzemka którą przerwał nam ostry głos świstawki. Oddział się uszykował, zdala dochodziło echo strzałów, Jankowski i Zieliński byli już zaatakowani. Ruszyliśmy żwawo lasem w kierunku ognia. Niedługo wpadł w nasze ręce jeden moskal który nie wiem po co się tu błąkał, od niego dowiedzieliśmy się że mamy przeciw sobie batalion z Lublina pod dowództwem Szeltinga który ma połączyć się z kilkoma rotami z Włodawy, a prócz tego

była sotnia kozaków i dwa działa. Podczas gdy Szelting naciskał Jankowskiego i Zielińskiego, uderzyliśmy nań z boku i zmusili do cofania, korzystając z tego nasi sprzymierzeńcy natarli silniej i zaczęło się posuwanie przez las i łączki leśne za ustępującym nieprzyjacielem. Armatni ogień nie wielką w lesie mógł nam robić szkodę, ale nieprzyjaciel miał wiele trudności w manewrowaniu z armatami po bagnistych łączkach i gęstwinach. Otrzymałem rozkaz poprzeć z moją sekcyą atak kosynierów na oddział piechoty zajmujący pólko położone wśród lasu, był to dla mnie pierwszy widok walki na białą broń. Położenie sprzyjało rzeczywiście użyciu kosy, pólko bowiem było małe i kosynierzy mogli pod zasłoną lasu podejść na niewielką odległość, a pozostałą przestrzeń do przebiegnięcia pod strzałami ja-

ko niewielka nie narażała ich na znaczne straty. Atak się powiódł; z początku ostrzeliwaliśmy kosynierów naszym ogniem, gdy zaś ci już się zbliżyli, uderzyliśmy wspólnie z nimi. Żołnierz rossyjski bardzo nie lubił kosy, niewiem czy to pochodziło z małej wprawy wojska rossyjskiego w fechtowaniu się bagnetem, czy też trwożyła ich długość drzewca, pozwalająca kosynierowi dosięgać przeciwnika a nie być dosięganym, dość że nieprzyjaciel uległ w tem starciu; pole zostało zasłane poległymi i rannymi, reszta pierzchła pospiesznie. —

Las gęsty i zarośla nie pozwoliły ani nam ani nieprzyjacielowi utrzymać się w porządku, bitwa rozdzieliła się na kilka oddzielnych utarczek, oddziały potraciły kommunikacyę między sobą. — Po pewnym czasie znalazłem się z Krysińskim, Zbrowskim, Mitkowskim i kilkudziesięcioma strzelcami tak z mojej jak

z innych sekcyi. Kierowaliśmy ciągle ogień nasz na działo, które prażyło nas kartaczami. Ogień nasz był skuteczny, konie artyleryjskie i kanonierzy wszyscy prawie polegli, zastąpiono je innymi żołnierzami i końmi kozaków. Nieprzyjaciel ciągle się cofał, widocznem było że i z innych stron jest naciskany, zastawiał on jednak ciągle swą armatę którą jednak mogliśmy byli łatwo zdobyć, lecz jak słusznie zauważył Żebrowski oddawała nam ona wielkie usługi będąc w ręku nieprzyjaciela który dla jej ocalenia musiał się trzymać miejsc więcej odkrytych, a nam przez to zostawiać możność podsuwania się po za drzewami i przez zarośla. My także nie wysuwaliśmy się na odkryte miejsca aby nie ujawnić naszej liczebnej słabości, lecz ciągle gęstwiną podchodząc raziliśmy nie zbyt gęstym ale celnym

 30

ogniem. W jednym z takich ataków Miłkowski nasz dowódca strzelców padł przy moim boku mając nogę zgruchotaną kartaczem; trębacz nasz były pocztylion dostał kulą w rękę w której trzymał trąbkę. Nie obeszło się i bez komicznej strony pomimo tragicznego nastroju: jeden z naszych, zaledwie dla dodania sobie animuszu wykrzyknął „niech żyje ojczyzna!" gdy chwytając się za nogę w którą ugodziła kula, dodał na zakończenie: „a niech cię dyabli wezmą razem z ojczyzną"! Wtenczas pomimowolnie uśmiechnąłem się, lecz później nie raz przychodziło mi na myśl że widocznie pierwszy okrzyk tego rannego nie miał być wysłuchanym przez Tego w którego ręku spoczywają losy państw i narodów. Zmrok już zapadł, nigdzie nie strzelano, my ostatni wstrzymaliśmy ogień, widocznie zwycięstwo zostało przy nas, nieprzyjaciel wszędzie się cofnął. Znalazła

się nareszcie części naszej jazdy która wskazała nam w jakim kierunku poszły tamte oddziały i reszta naszego. Udaliśmy się więc do Mazanówki już w nocy lecz niedogoniliśmy ich.

47 Tu dowiedziałem się o śmierci mego kuzyna Dmochowskiego, a nazajutrz widziałem jego ciało w Sapiechowie którędy przejeżdżaliśmy na furmankach aby doścignąć naszych. Widocznem było żeśmy się najdalej za nieprzyjacielem posunęli, może nawet uważano nas za straconych. Zresztą Lenkowski miał zasadę aby po każdej bitwie jak najdalej się przerzucić i unikać przez to nowej bitwy z przeważnemi siłami; zwykle bowiem nieprzyjacielskie oddziały z innych stron szły na wiadomość o potyczce.

W Wisznicach znaleźliśmy Majewskiego byłego oficera rossyjskiego, będącego w oddziale Lenkowskiego; leżał on tam ranny. —

Jazda nasza już nam nie towarzyszyła; wysłał ją Krysiński dla wstrzymania naszego oddziału. Po wyjściu z Wiszni stanęliśmy pod lasem koło jakiegoś młynka, upał był nieznośny, pozwolono więc połowie pójść do kąpieli, druga zaś z bronią w ręku stała w pogotowiu. Pierwsza połowa wykąpała się bez przeszkody, zaledwie jednak druga w której i ja się znajdowałem weszła do wody, pikieta daje znać że zbrojny jakiś oddział szybko się ku nam zbliża. Nie było czasu do stracenia na ubieranie się, przeto w najkomiczniejszych stanęliśmy kostiumach. Ja miałem tylko buty, ładownicę i karabin, tak uszykowaliśmy się na brzegu lasu, pokazało się jednak że to nasza jazda która przyniosła nam wiadomość że reszta naszego oddziału jest o parę tylko wiorst odległa. Wiadomość tę powitaliśmy wesołem „hurra!

i wkrótce oddział cały był znów połączony, bra-
kowało tylko tych którzy nas na drugi świat
wyprzedzili. Jakubowski i Zieliński pociągnę-
li dalej na północ. Cofnęli się oni rzeczywi-
ście wcześniej od nas, gdyby jednak byli jeszcze
jakiś czas nacierali na nieprzyjaciela, klęska
jego byłaby zupełniejszą. Straty naszego od-
działu wynosiły 30 – 40 zabitych i rannych
Sprzymierzeńcy nasi nie więcej zdaje się stra-
cili. Nieprzyjaciel stracił w zabitych i ran-
nych 9 oficerów i 120 przeszło szeregowych.
Lubo Rossyanie zawsze starali się szybko sprzą-
tać swoich poległych i rannych, jednak udało
nam się pozbierać kilkadziesiąt sztuk broni.
Oddział idący na pomoc Szeltingowi z Wło-
dawy, zmylił się widocznie w swej marszru-
cie gdyż nie miał udziału w bitwie, zasło-
nił jednak rozbitków. Było kilka nomina-
cyi, czyli raczej przedstawień do awansu przez

naczelnika, między innymi zostałem przedsta-
wiony na stopień podporucznika z zachowaniem
dowództwa 3ej sekcyi strzelców którą jako podoficer
dowodziłem. — Przedstawienie było tem sa-
mem co nominacya, to też kontent byłem
gdy trafił się wędrowny żydek i dostarczył nam
wódki, wina, piwa, cygar etc., obleliśmy więc
wesoło moją nominacyę i kilka innych. —
Koledzy winszowali szczerze i żartując mówi-
li że za zabicie psa zostałem oficerem. Po-
wód tego był taki: przy końcu bitwy pod Sajówką,
jakeśmy ją nazywali, lub pod Janówką jak ją
nazwał Jankowski, lub też pod Romanowem
jak ją nazwali Rossyanie, gdy już zaczynało
być ciemno, strzały ustawały a nieprzyjaciel
cofnął się na znaczną odległość, jakiś zabłą-
kany czy też wysłany z poleceniem kozak,
ukazał się przed naszym frontem, pędząc w
galopie przez łąkę rowem, burką aż obok niego

biegł niewielki piesek. Pies i jeździec znajdowali się na jednej linii ocznej od nas w skutek tego iż jeden z nich będący na burcie był wyżej jak drugi na dnie rowy. Widząc że kończę nabijać karabin, kapitan Żebrowski zawołał na mnie: „nastaw wizer na 700 kroków.“ dałem ognia i zamiast Kozaka, pies przewrócił koziołka. Stało się to w obliczu tak naszych jak nieprzyjaciela, za mną padło jeszcze kilka strzałów i kozak zsunął się z konia. Śmiano się z tego wypadku, każdy jednak widział że strzał nie był zły, kula która przeszyła psa, przejść musiała pod brzuchem koniowi; o siedmset kroków, w galopie, jest to dość trudne, zasługa należała się dobremu okomiarowi oficera artylleryi który nie omylił się wiele co do odległości. Przez kilka dni jeszcze chodziliśmy po Włodawskiem, aż doszła nas wiadomość

o ukazaniu się w naszych stronach Kruka. Właściwe jego nazwisko było Heidenreich, wyszedł on świeżo z wojska rossyjskiego, gdzie miał rangę majora i był w sztabie głównym w Warszawie. Rząd narodowy mianował go naczelnym wodzem wszystkich oddziałów w Podlaskiem i Lubelskiem. Spotkaliśmy go nareszcie; staliśmy wtedy w Kaznowie, gdy dano znać o zbliżaniu się naczelnego wodza. Uszykowaliśmy się porządnie i niezadługo ukazał się oddział jezdnych towarzyszący Krukowi. On sam był człowiekiem trzydziesto kilko letnim, średniego wzrostu, ujmującej powierzchowności. Orszak jego złożony ze 100 około koni, dobrze był okryty i uzbrojony, dowodził nim Deskur, mój sąsiad, którego jednak nie wiele znałem. Dnia tego przyjęcie skończyło się na zwykłem pozdrowieniu. Nazajutrz Kruk przejrzał cały nasz oddział, porozdawał nominacye zatwier-

dzone przez rząd narodowy, między innymi i mnie, wyraził zadowolenie rządu za bitwy Domaczewską i Sajowską i powiedziawszy że przez czas jakiś będzie dzielił nasze losy, poprowadził nas do Rozkopaczewa już w Lubelskiem leżącego. Tu przybywali ciągle ajenci, kuryerki, wiadomości pełno, lecz nie wiedzieliśmy jakie. Nieprzyjaciel krążył się blisko, dowodem czego było śmieszne zdarzenie jakie miałem. Nocowałem z innymi strzelcami w Rozkopaczewskiej stodole, nagle czuję przez sen że coś ciężkiego na mnie upadło, ocknąłem się więc i schwyciłem twarz wąsatą która przemówiła po rossyjsku, a przy blasku księżyca wchodzącym przez szczelinę ujrzałem płaszcz żołnierski. Przebudzonemu ze snu, wydało mi się że jesteśmy napadnięci, krzyknąłem więc na swoich, lecz szyldwach uspokoił mnie mówiąc że pa-

trol schwytał dwóch żołnierzy i tu ich wpakował; ten żołnierz był pijany, wtłoczył się po stodole i upadł na mnie. —

Zdaje mi się że w pierwszych dniach sierpnia wyszliśmy z Roskopaczewa i stanęli w lasach Łęczyńskich koło Smolarni zwanej: Skarbina. Tu miały miejsce dwa nie miłe zdarzenia, jednem z nich było powieszenie jakiegoś szpiega na którego rzeczywiście były dowody przekonywające; przy czem byłem świadkiem wyjątkowego zbydlęcenia człowieka. Żona skazanego który już tylko księdza oczekiwał, z początku prosiła za nim, później przyznała że mąż jej był szpiegiem nieprzyjacielskim, a nareszcie udała się do Kruka czy Krysińskiego, z prośbą aby go kazał prędko powiesić, gdyż ona nie ma czasu a chciałaby zabrać po nim buty i surdut. Drugi wypadek był taki: Kazano nam opuścić nasze obozowisko i wszedłszy w głąb lasu, jak

najcięższej się zachowaé, podoficer jeden były żołnierz rossyjski, pijany, począł kłócić się i krzyczeć, na rozkaz oficera odpowiedział grubo. Aby skarcić niesubordynacyę kazano go pochwycić, czego dokonano dopiero po zranieniu go bagnetem w czoło. Skazany na rozstrzelanie wyprowadzony został na miejsce exekucyi i 6^{ciu} żołnierzy dało doń ognia. Jakież było zdziwienie komenderującego gdy w kilka sekund podniósł się krwią oblany i zawołał: „taki ja jeszcze będę bił Moskali"! Widać że każdy z odkomenderowanych do rozstrzelania wolał by ten czyn surowej sprawiedliwości, odbył się bez jego udziału, gdyż lubo nie było między nimi zmowy, pięciu chybiło a jeden tylko nie podzielający tych uczuć obsypał mu twarz śrótem. Nie podobna było dowiedzieć się kto miał karabin śrótem nabity, a że naboj taki w broni gwintowanej bardzo słabo bije

więc nie ranił go śmiertelnie. Skazany był ułaskawiony i odesłany gdzieś na kuracyę. Odtąd już go niewidziałem. —

Spokojny pobyt nasz nie trwał długo. Przeczuwano bitwę. Oddział Rudzkiego przysunął się ku nam. Dochodziły wieści o szybkiem zbliżaniu Wierzbickiego który świeżo uzbrojony wyszedł z Galicyi i zdążał w naszym kierunku gdyż byliśmy zagrożeni przeważnemi siłami. Zaraz po przejściu granicy miał on szczęśliwe spotkanie, poprzedzała go więc dobra opinia. My także otrzymaliśmy pomoc w kilkudziesięciu karabinach i szablach oraz zapas ładunków z Galicyi.

Nareszcie wyruszyliśmy rankiem z naszego obozowiska i uszedłszy z milę usłyszeli strzały. Wtem zjawiła się jedna z kuryerek p. Piotrowiczowa zwana przez powstańców Grubopiotrowiczową jako „pendant" do Białopiotrowicza litwina z lnianemi włosami który służył u nas w strzelcach.

Po kilku zamienianych z nią wyrazach, Kruk zmienił nasz kierunek, uszliśmy z pół mili, gdy przybycie kilku jezdnych znów nasz marsz zmieniło i zaczęliśmy postępować w poprzednio obranym kierunku. Niewiedziałem co to znaczy, nie mówiłem z żadnym z naczelników, postępowałem obok mej komendy przestrzegając porządku w pochodzie, czułem bowiem że chwila jest stanowczą. Nareszcie przybyli znów gońcy, stanęliśmy na krótki spoczynek i nie długo w dalszy pochód ruszyli. Niebawem usłyszeliśmy huk wystrzałów, coraz wyraźniejszy. Wciąż dotąd szliśmy lasem Łęczyckim który jest obszerny, lecz poprzerzynany półkami i łąkami, na jednem z takich pólek spostrzegliśmy kilku Kozaków którzy dawszy ognia znikli, później znów kilka podobnych spotkań, bez żadnego skutku, nareszcie stanęliśmy na brzegu lasu. Jazda Kruka i nasza uszykowały się na polu, my

rozwinęliśmy się w lesie Łaźcuckim tyralierskim, za nami kosynierzy w kolumnie, i ruszyliśmy frontem w stronę strzałów. Prawe skrzydło naszę, w którem była moja sekcya, wkrótce spotkało nieprzyjaciela i rozpoczęło ogień, lewe nasze tymczasem nie miało udziału i strzelało tylko do kozaków włóczących się pod lasem. Strzelaliśmy do boku nieprzyjaciela bijącego się z Rudzkim cofającym się, wkrótce część pewna zwróciła się na nas. Coraz nowe kolumny nieprzyjacielskie przeciw nam występowały, zaczęliśmy się cofać utrzymując jednak kommunikacyę z Rudzkim. Ogień ten trwał parę godzin, my ciągleśmy się cofali odstrzeliwając; ogień nieprzyjacielski był silny i podtrzymywany 4ma działami, straty jednak nasze były nie znaczne gdyż grube drzewa w tym wysokopiennym lesie były nam zasłoną. Wyszedłszy z ognia zaszliśmy do Jagodny i tam pozbili mlekiem u pachciarza

i kolonistów, dalej przeszliśmy Zaduecze i stanęli w lesie Zawadowskim. Tu złączyła się z nami reszta oddziału Wierzbickiego a nareszcie zjawił się Kruk. Teraz dopiero wszystko się wyjaśniło. Wierzbicki szybkim marszem chcąc się z nami połączyć posunął się do Kaniowoli i tam został przez nieprzyjaciela zaatakowany. My dążyliśmy mu na pomoc nieświadomieni będąc o jego przybyciu, gdy p. Piotrowiczowa dała znać że inny nieprzyjacielski oddział zachodzi z przeciwnej strony Wierzbickiemu, ruszyliśmy więc przeciw temu nowemu oddziałowi, lecz rekonesans zapewnił wkrótce Kruka, że żadnego innego oddziału nieprzyjacielskiego niema a wszystkie siły skoncentrowane są przeciw Wierzbickiemu. Położenie było naglące, ruszyliśmy więc ku Kaniowoli lecz już było zapóźno. Wierzbicki pobity i ranny stracił ze 100 ludzi ze swego

pięknego oddziału którego resztę zwyciężoną lecz z dobrą postawą i w porządku pozostałą podziwiałem, gdy złączyła się z nami pod komendą Wagnera. Wtedy Kruk dowiedziawszy się że zapóźno iść na pomoc Wierzbickiemu, otrzymał wiadomości że Rudzki już jej potrzebuje. Nowa więc zmiana kierunku, nowa strata czasu, a tymczasem Rudzki już także ~~był~~ poniósł klęskę, lubo nie tak wielką jak Wierzbicki; nasze przybycie dopomogło mu tylko do łatwiejszego wycofania się. P. Piotrowiczowa o mało drogo nie przypłaciła fałszywej wiadomości, gdyż Kruk w pierwszym gniewie ją aresztował, oddał mi pod straż i powiedział że każe powiesić. Nie ona sama jednak była winną, złe leżało w tem że naczelnicy nie skomunikowali się przed bitwą i dopiero w chwili boju szukać się musieli. Rudzki widocznie nie był dobrze poinformowany gdzie jest Wierzbicki, skoro za późno przyszedł mu na pomoc, my przyszliśmy

kiedy Wierzbicki zupełnie a Rudzki w części byli rozbici. Kruka jazda przerzchnęła aż do Orzechowa i nad wieczorem dopiero on do nas powrócił. Słowem bitwa zupełnie nie udana, a jednak działając wspólnie i mając przeszło półtora tysiąca ludzi, mogliśmy się byli w dobrze zawczasu obranej pozycyi skutecznie oprzeć nie liczącemu więcej nieprzyjacielowi. Wagner objąwszy dowództwo po Wierzbickim poszedł w Lubelskie, Rudzki w lasy Parczewskie. My zaś, prawie nie nie ucierpiawszy, zostaliśmy na miejscu, to jest pod Zawadówką. Nieprzyjaciel zaś wrócił do Lublina. —

Tu zaszła zmiana w mem położeniu. Deskur dowódca jazdy Kruka, i Żebrowski dowodzący naszą piechotą, otrzymali polecenie uformować nowy oddział, a do pomocy w tem pozwolono im wybrać kilku ludzi. Między innymi wybór to padł na mnie. Bardzo mnie w smak mi po-

szło, bo nie lubiłem wszelkich organizatorskich zajęć. —

Deskur pojechał do Galicyi po broń. Żebrowski później także za nim podążył, jedni z podkomendnych mieli zbierać ludzi, inni konie, ja broń jaką się znajdzie u mieszkańców którzy ją na polach bitew pozbierali. Przepędziłem więc parę tygodni w domu i okolicy, lecz przekonałem się o niepraktyczności powierzonego mi zadania. Ludzie woleli iść do istniejących już oddziałów, niż czekać bez broni, w lesie, na przywiezienie jej z Galicyi, lub zbieraniu po okolicy. Broń jaką znalazłem, musiałem ciągle z lasu do lasu przenosić z wielkim trudem, bo powstańcy ją wykradali i spieszyli z nią do innych oddziałów. Tymczasem doszła mnie wieść że Kruk na czele oddziałów Krysińskiego i Lelewela pobił nieprzyjaciela pod Chruślinem. Postanowiłem wrócić do szeregów i przedstawić Krukowi bezcelowość ta-

kiego organizowania oddziału i puściłem się z początku swemi końmi, potem różnemi furmankami, od wsi do wsi w Lubelskie, dla spotkania z Krukiem. Po kilkodniowej wędrówce, będąc nie daleko Żyrzyna usłyszałem strzały armatnie, dowiedziawszy się że w Żyrzynie stoją powstańcy, pojechałem do wsi. Tu zastałem z półtora tysiąca ludzi różnej broni, strzelców, kosynierów, jazdy, należących do oddziałów Krysińskiego, Wagnera, Lutyńskiego, Grzymały etc. w wielkim nieporządku kłócących się o żywność, furaż i kwatery. Od znajomych dowiedziałem się że Kruk kazał wybrać śmietankę ze wszystkich oddziałów, oddał im jakie były ładunki i z tym wyborem ludzi i broni zrobił zasadzkę na kilka rot piechoty mające przechodzić z Dęblina do Lublina. Pozostali w Żyrzynie mają polecenie czekać na koniec bitwy, która właśnie się toczy i w każdym razie

mikaí starcia, gdyż mają zaledwie po parę naboi.—

Powiedziawszy że natychmiast potrzebuję się widzieć z Krukiem, zażądałem konia, szabli i rewolweru, gdyż inaczej trudno się było puścić, nie wiedząc jak w tej chwili ważą się losy bitwy.— Dano mi czego żądałem i ruszyłem. Strzały już nie tylko armatnie ale i karabinowe słychać było coraz wyraźniej, lecz ani jednego maruder z naszych, ani jednego kozaka, co mnie dziwiło. Lasem podkradłem się blisko szosy na której stała gromadka jeźdźców; dalej na szosie i w lesie wrzała bitwa. Rozpoznałem naszych i skoczyłem ku nim. Był to Kruk rozsełający adjutantów z rozkazami. Nie było czasu tłomaczyć z kąd się wziąłem i po co, Kruk powiedział mi tylko: „bitwa już i tak trwa za długo, lada chwila wyglądam Moskali z Kurowa;
„jedź pan natychmiast do Krysińskiego niech od-

„odstępuję i idzie do Żyrzyna, innym naczelnikom
„posełam taki sam rozkaz". Za chwilę byłem
przy Krysińskim, strzały umilkły i straszny
widok mnie uderzył, tem straszniejszy że nie
mając udziału w bitwie, nie odczuwałem tego pod-
niecenia i gorączki jakie ona sprawia. Garstka
piechoty rossyjskiej, czarna od dymu, stała ponuro
z bronią na dół spuszczoną; otoczona ona była
dosłownie, wysokim wałem ciał ludzkich po kil-
ka jedno na drugiem leżących. Konie artyleryj-
skie pobite tarzały się we krwi z porwanemi za-
przęgami, jaszczyki wywrócone w rowie; powóz
równicz z pobitemi końmi, w nim dwie bezprzy-
tomne kobiety, jedna w wieku, druga młoda; na
stopniu powozu, z szablą w ręku i rozpłataną
głową półkownik, mąż tej młodszej, dowódca
oddziału; dalej żyd nie żywy ze strachu leżał
na bryce kupieckiej a konie spokojnie skuba-
ły trawę w rowie. Wokoło zamęt, warta

przy kassie broniąca jej od rozdrapania, rozrywania listów z pieniędzmi i mnóstwa strojów damskich, widocznie z Warszawy na Dęblin do Lublina przesyłanych upominków. Piękne szale, paltociki, kapelusze, kołnierzyki, pantofelki, zalegały całą szerokość szosy. Nie łatwo było wykonać rozkaz Kruka i oderwać ludzi od rabunku, że jednak wszystko musi się skończyć, więc i nieład został w końcu opanowany; szczęściem ~~jednak~~ że przepowiednia Kruka o nieprzyjacielu z Kurowa nie sprawdziła się, bo popłoch byłby zupełny. Rezultat był mniej więcej taki; przeszło 100 złożyło broń, blizko 300 leżało zabitych i rannych. Kozacy w części uciekli, w części schwytani przez oddział Lutyńskiego, już wisieli zanim Kruk się o nich dowiedział, 2 armaty, 400 karabinów, dużo ammunicyi, przeszło 200000 rubli prócz rozdrapanych - jakie się w listach znajdowały. Naszych także było z 50 za-

zabitych i rannych. Nieszczęśliwe kobiety otrzymały pozwolenie wybrać sobie dwóch z pomiędzy jeńców aby ich odwieźli do Kurowa lub gdzie zechcą, w powozie zaprzężonym w cztery pozostałe żywe przy jaszczykach konie. Długo wahały się kogo wybrać, sądząc że pozostali będą na śmierć skazani, lecz Kruk potrafił je przekonać że nic złego ich nie spotka, jakoż w parę dni zostali wolno puszczeni. —

Przedstawiłem co miałem Krukowi i potrafiłem go przekonać. Polecił mi wracać i większy co jest gotowego z ludzi i koni, łączyć się z Krysińskim. Kilka dni zajął mi powrót bo trzeba było wymijać wojska gromadzące się dla pomszczenia klęski, kilka również zeszło nim zgromadziłem porozlokowywanych po różnych kątach powstańców; za nim więc wyruszyłem rozeszła się wieść o klęsce pod Fajsławicami, wkrótce sprawdzona. Wszystkie

pracowie siły dwóch województw były zniesione, cała kompania strzelców w której służyłem w pień wycięta, został z niej jeden tylko Ryttel, młody chłopiec strasznie porąbany, który jednak wyleczył się. Naczelnicy schronili się do Galicyi aby zbroić się na nowo. Nieprzyjaciel wziął do 600 jeńców. — Nie było ani jednego oddziału, trzeba więc było siedzieć cicho, rozpuściłem więc moją komendę. Lerbas tylko jeden który i tym razem ocalał, tułał się po lasach z kilkudziesięcioma ludźmi. Kozactwo ośmielone sunęło się na wszystkie strony i dwa razy o mało nie stałem się ich pastwą. —

Pierwszy raz zdaje mi się iż nie wiedziano że miałem udział w powstaniu. Wyszedłszy na ganek mego domu ujrzałem kilku kozaków którzy przebiegając zapytali mnie kto popędził przez wieś konno, tego widzieć nie mogłem; rozpatrzywszy się spostrzegłem na wzgórzu ku Woli Wereszczyńskiej

kilkudziesięciu kozaków a pomiędzy nimi oficerów. Chcąc uniknąć spotkania z nimi włożyłem płócienny surdut i słomiany kapelusz i wyszedłem w pole, jednak ku lasowi. Widziano mnie niezawodnie lecz wyglądałem na gospodarza chodzącego koło robotników i rzeczywiście była tam jakaś robota. Szedłem krokiem niby to wolnym aby nie dać poznać że uciekam lecz bardzo wyciągniętym a gdym już minął robotników i zbliżał się ku lasowi kilkunastu konnych ruszyło w moim kierunku, nie przyspieszając kroku doszedłem do brzegu lasu i tam dopiero dałem folgę chęci zmykania, za chwilę byłem w takich gąszczach bagnistych że cała potęga Rossyi niczem mi się wydawała. Dotąd nie wiem czy w ten czas chciano mnie złowić. —

Drugim razem jednak nie było już tej wątpliwości, Büchner naczelnik rossyjskiego oddziału

stojącego w Łęczny wysłał po mnie kilkudziesię-
ciu kozaków w skutek denuncyacyi. Szczęściem
Franciszek mój towarzysz broni ujrzał ich z da-
leka i dał mi znać, zaczęliśmy uciekać, lecz
położenie było trudne, nieprzyjaciel wyszedł z
lasu więc wyparł nas w pole, oni byli konno,
my zaś piechotą, rowy jedynie chwilowo kryły
nasz bieg przed okiem pogoni. Doznawałem
wrażenia jakie ma zapewne zając uciekający
przed chartami. Upadający ze zmęczenia, bez tchu,
dostaliśmy się do bagien zarosłych, pogoń by-
ła niepodobną a kule które świstały wysoko nad
naszemi głowami już nam się więcej nie wy-
dawały. Jeszcze kilkaset kroków a bylibyśmy
schwytani. Zawiedzeni kozacy zemścili się na
mym domu i zabrali co się dało.—

Coraz trudniej było zostawać w domu, posta-
nowiłem jeździć i znów omałom drogo tego nie
przypłacił. Miałem interes czysto osobisty

u mego kuzyna Janusza Dłuchowskiego w Komarówce, brata tego który zginął pod Sajówką. Zjawiła się tam jakaś kuryerka przywiozła pakiet papierów i małe pudełeczko z poleceniem aby to dostawić do Władawy, Janusz prosił mnie abym to z sobą zabrał wracając, prócz tego miał ze mną jechać Zdzisław Chrzanowski aby się dostać do krewnych w Lubelskie. W drodze wszystko szło dobrze, pytaliśmy się w każdej wsi czy niema gdzie blisko wojska, pakieciki miałem przy sobie. Pomimo tych ostrożności w Sosnowicy zostaliśmy obskoczeni przez kozaków. Oddział składał się z 4 rot piechoty, pół szwadronu dragonów i pół sotni kozaków. Zaskoczył on tu przed chwilą Kamińskiego z kilkudziesięciu jazdy z byłego naszego oddziału, którzy wymknęli się jednak bez straty i jeszcze oficerowi dragonów parę łoftek w szyję wpakowali. —

Wpadłem więc w gniazdo rozjuszonych wilków. — Rękami odpychając szable i spisy kozackie które mi nam grożono krzyknąłem na oficera że może nas aresztować ale nie ma prawa pozwolić aby pod jego okiem żołdactwo mordowało bezbronnych. — Kazał nas postawić pod wartą. Udając zmęczenie, siadłem na ziemi i okryty burką wygrzebałem rękami dołek w którym złożyłem mój niebezpieczny pakiet, — zaledwie obtarłem ręce gdy przystąpiono do rewizyi. Poddałem się jej z czystem sumieniem i uśmiechałem tylko gdy Chrzanowski nie mógł zrozumieć jakim sposobem nic nie znajdują. Szczęście moje iż to był oddział świeżo w te strony przybyły i nie znający miejscowych stosunków, jedynie denuncyacya mogła była mnie zgubić, a do tego pomimo wypytywania chłopów i żydów nie przyszło. W nocy oddział z nami wyruszył do Turny i na drugi dzień dopiero nas uwolnił. Zrazu więc ruszy-

liśmy do domu, po drodze jednak pamiętając miejsce koło płotu w którym porachowałem kości, zabrałem pałeczki które omało mnie nie zgubiły a może nawet i mego towarzysza.

Tymczasem w naszem sąsiedztwie na Lipniaku jakiś Klimaszewski począł formować oddział dla Krysińskiego, w innych miejscach także formowano je, a niebawem zjawił się i sam Krysiński na czele dobrze uzbrojonego, umontowanego i ubranego szwadronu jazdy i stanął na Lipniaku. Jest to mała wioseczka położona jakby na wyspie pomiędzy bagnami, dwie tylko groblki z mnóstwem mostków do niej prowadzą a przerwawszy je niepodobna się tam dostać.—

—Stawiłem się przed Krysińskim konno i zbrojno z Franciszkiem, prosząc o zapisanie nas do jego jazdy bo piechota prawie nie istniała i w ten sposób rozpoczęła się druga

część mojej wojaczki już konno odbywana a daleko cięższa od pierwszej i obfitsza w niebezpieczeństwa. —

Wolałem służyć pod Krysińskim jak pod kim innym bo go znałem, a był to człowiek sprytny, odważny i szczęśliwy a mający zaufanie u prostych ludzi. — On jednak mianował mnie swoim adjutantem. Ponieważ funkcye adjutanta nie w boju zależały głównie na „emablowaniu" kuryérek, poprosiłem się przy zdarzonej sposobności, gdy znalazł się kandydat na tę posadę, o inne odpowiedniejsze dla mnie zajęcie i objąłem obowiązki obożnego t: j: straż nad porządkiem i bezpieczeństwem oddziału. W bitwie miałem miejsce na prawym krańcu pierwszego szeregu jak wachmistrz szwadronu, a w czasie pokoju, w nocy szczególniej pilnowałem zmian i czujności pikiet. Dano mi drugiego konia, bo jeden byłby nie podołał. Miałem więc pracę

wystarczającą na dwa konie i odpowiedzialność wielką bo bezpieczeństwo wszystkich od mej czujności zależało. Tylko takie żelazne zdrowie, jakie pomimo wątłego pozoru ciągle mi dopisywało, mogło tym trudom podołać. —

Kilkudziesięciu piechoty Klimaszewskiego stało przy nas, lecz byli oni źle uzbrojeni. Spodziewano się kilku jeszcze lecz prawie bezbronnych oddziałów, a tu nadeszła wiadomość o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Trzeba było wyjść z Lipniaka aby go odciągnąć od tego punktu zbornego a poprowadzić za sobą. Wyruszyliśmy więc, piechota skryła się lasami, a my bardzo ostentacyjnie, umyślnie dając się widzieć wszędzie. Stanęliśmy nareszcie pod Zezulinem, nieprzyjaciel ciągle nas ścigał i ku wieczorowi nam się ukazał. Piechota nasza ukryta została w lesie, nie chcieliśmy jej nawet pokazywać tak była

licho uzbrojona, my zaś rozwinęliśmy się przed nią i rozsypani w łańcuch tyralierski strzelali do Kozaków. Skutku te spotkanie nie miało prawie żadnego gdyż my nie mieliśmy piechoty, a nieprzyjaciel mało jazdy, gdy więc piechota rossyjska zbliżała się ku nam myśmy się cofali, gdy zaś jazda ich zanadto się ku nam zbliżała ~~zbli~~ zwijaliśmy się w kolumnę i spędzali ją z pola na jej własną piechotę. Poznałem że jazda nasza lepiej te obroty wykonywała niż za poprzedniej mej służby. — Gdy Krysiński był już pewnym że Klimaszewski ze swą biedną piechotą oddalił się dostatecznie, zakomenderował odwrót i przy odgłosie trąb pomaszerowaliśmy do Łęczny. Nie liczna jazda nie śmiała, a piechota nie mogła nas ścigać. Mieliśmy jednego człowieka i jednego konia lekko rannego. Kozaków dwóch widziałem spadających z koni. —

Manewrowaliśmy ze dwa tygodnie w Lubelskiem

Przez ten czas piechota nasza wzmocniła się do 200 ludzi przez przybycie Bardeta. – Chwilowo połączył się z nami Ćwiek (Cieszkowski) i nie daleko Garbowa wspólnie z nim mającym dobrze uzbrojony oddział, mieliśmy strzelaninę z Kozakami, aż nareszcie stanęliśmy w Turobinie. –

Tu, już wyleczony, Wierzbicki, zebrał kilka oddziałów a mianowicie swój, nasz, Ćwieka, Mareckiego, Lewickiego, Rudzkiego, Jankowskiego. – Mianowany on został naczelnikiem wszystkich sił zbrojnych w Lubelskiem. – Było nas razem przeszło 3000. Spotkałem się tam w kawaleryi Wierzbickiego z mym dobrym przyjacielem Sewerynem Finke który w kilka dni potem zginął nie daleko Chełma. Wierzbicki początkowo miał zamiar uderzyć na Krasnystaw lecz projekt ten spełzł nie wiem dla jakich powodów. Skończyło się na przeglądach manewrach, po których rozeszliśmy się w różne

strony. — Część naszej jazdy, mianowicie jeden pluton wysłany był nad granicę dla zabrania z tamtąd broni, my zaś ruszyliśmy ku Chełmowi. Chełm jest to zapewne najporządniejsze z miasteczek w jakich powstańcom zdarzało się bywać, większe bowiem wszystkie miały silne załogi; nic więc dziwnego że wejście do Chełma było dla nas wielką fetą. Był to dzień odpoczynku dla ludzi i koni. Pikiet nie potrzeba było żadnych bo z wieży katedry widać wszędzie na milę na około. Konie porozsiodływane z rozkoszą wyciągały się na słomie. Gościnni mieszkańcy zapraszali znajomych i nieznajomych i hojnie ich traktowali. U Biskupa był obiad dla wszystkich oficerów. Ten tylko kto często parę tygodni z rzędu nawet się nie przebierał, spał na gołej ziemi, a często jeszcze na deszczu, a zawsze w ubraniu; nigdy prawie nie jadł na talerzu

mając łyżkę, nóż i widelec; ten tylko może zrozumieć całą przyjemność dnia tak spokojnie i wygodnie spędzonego. — Były trudy i niebezpieczeństwa, lecz nie było kłopotów, myśl zatem była swobodna; o jutrze nikt nie myślał bo mniej jeszcze niż kiedykolwiek był pewnym czy go doczeka. — Byle więc chwilka swobodna się trafiła, byle jaka-taka wygoda, wnet wesołość opanowywała wszystkich i koncepta sypały się jak z rogu obfitości. Polak z natury swojej niezmiernie łatwo staje się żołnierzem, a chociaż w powstaniu wielu warunków do wyrobienia dobrego żołnierza brakowało, jednak ten spryt żołnierski, ta skłonność do facecyi nawet w groźnem nieraz niebezpieczeństwie, ta nieprzebrana doza dobrego humoru znajdywała się na zawołanie i nie opuszczała nigdy powstańców. Prosty wieśniak odra-

 47

zu chrytał to usposobienie i w kilka dni po zaciągnięciu się był już innym człowiekiem. —

Opuściliśmy Chełm o zmroku, gdyż przepędzać noc w mieście było niebezpiecznie i dla karności nie dobrze. Straż na wieży nie by nie znaczyła, a pikiety miały by silną pokusę wrócić do miasta cichaczem; zresztą ludzie porozchodziliby się po domach i trudno byłoby ich zgromadzić w razie napadu. —

Tu dodam czego zapomniałem we właściwem miejscu powiedzieć że idąc ku Turobinowi jeszcze Krysiński odkomenderował ze 30 koni do zaalarmowania Lublina. Któryś z naszych oficerów z kilkunastoma ludźmi wpadł na rogatkę Piasecką; ja zaś z równym pocztem na Lęczyńską, naturalnie w nocy. Na moście spotkaliśmy Kozaka który strzeliwszy uciekł, a my tuż za nim popędziliśmy przez Kalinowszczyznę, koło Bazylianów aż na Lubartowską drogę tu stała

druga rogatka a przy niej już silniejsza piesza placówka, lecz sądząc że ma do czynienia z licznym oddziałem po wystrzale cofnęła się w środek miasta. Zwaliliśmy rogatkę i wpadli na plac targowy, gdzie stoją jatki; lecz od magistratu już nadbiegał liczny oddział piechoty, skręciliśmy więc przez Szeroką ulicę i wrócili bez straty na Kalinowszczyznę, lecz przez chwilę gdym z placu targowego ujrzał szczyt domu w którym mieszkał wtenczas mój Ojciec, gdy mi przyszła myśl że on ani się domyśla że syn o kilkanaście tylko kroków pod jego prawie oknami wśród gradu kul przebiega, posłałem w tę stronę serdeczny pocałunek i zdjął mnie taki żal dziecięcy że może alarm nocny go zbudzi i niepokoju nabawi że aż łzy w oczach mi stanęły. — Na Kalinowszczyźnie zatrzymaliśmy się przed jakimś szynkiem z kąd her-

baty po szklance nam wyniesiano i przez ni-
kogo nie niepokojeni, przededniem złączyliśmy
się z tymi co od Piask atakowali, w obozie Kry-
sińskiego. —

Lecz wracam do dalszego opowiadania. Na
trzeci dzień po opuszczeniu Chełma, będąc o
dwie mile od tego miasta otrzymaliśmy wia-
domość że Kozłowski dowodzący oddziałem Ćwi-
ka bije się w Chełmie. Czas potrzebny dla dojścia
tam, oraz ten co już upłynął zanim otrzyma-
liśmy wiadomość, kazały wnosić że na czas
nie zdążymy. Sympatya jednak dla tego dziel-
nego oddziału była taka i tak ochotnie oddzia-
łek nasz gotował się do wyprawy że Krysiński
pozwolił raczej niż kazał ruszyć ku Chełmowi.

Zostawiliśmy piechotę daleko za sobą, lecz
o werst kilka dowiedzieliśmy się na pewno że
wszystko skończone, że Kozłowski z pomocą
Rudzkiego odparł nieprzyjaciela który go w

Chętnie atakować. Rossyanie probowali nawet bombardować miasto i dwa dachy spalili, lecz pożar został stłumiony. —

Wróciliśmy więc i hołując zbliżali się ku Lipniakowi, a w tej naszej fortecy czekał nas Etuer który ze 300 ludzi źle uzbrojonych przyprowadził, lecz za to wiele mundurów, bótów i bielizny. Nie długo przybyło kilkaset Litwinów pod dowodztwem Cytuninowicza. Siły więc nasze wzrastały znacznie. Lecz jakaż była radość gdy dano znać że część naszej jazdy którą wysłano po broń nad granicę zbliża się i prowadzi długi szereg furmanek. Wszędzie było słychać „broń! broń! nam wiczą. Rzeczywiście rzadki to był wypadek a może i jedyny w czasie powstania aby trzydzieści kilka fur naładowanych bronią i ammunicyą mogło przejść dwa-

dziecia przeszło mil krajem po którym snuły się nieprzyjacielskie oddziały. Zwykle oddziały szły po broń na granicę lecz często tam wpierane były do Galicyi bo granica silnie była strzeżoną. Przywieziono nam przeszło 700 karabinów, 300000 gotowych ładunków, prócz szabel, rewolwerów, pistoletów, karabinków dla jazdy i t.p. Zaczęło się organizowanie sił naszych i oddział uformował się w sile 1000 ludzi dobrze uzbrojonych i jednostajnie ubranych. —

Cała piechota podzieloną była na dwa bataliony, z tych pierwszym dowodził Bardet; batalion ten miał trzy kompanie strzelców i jedną kosynierów. Pierwszą dowodził Pissaferi Włoch wojskowy Piemoncki, drugą Leszczyński oficer pruski, trzecią Osser, kroat, wojskowy austryacki, czwartą kosynierską dowodził Grundman, Kompanie strzeleckie miały po 130–140

ludzi, kosynierska zaś nie liczyła więcej jak 50, na wypadek bowiem jedynie zachowano kosynierów którzy rzadko kiedy mogli być użyci; kosy za to wybrano co najlepsze umyślnie na ten cel robione w guście starożytnych berdyszów. — Drugi batalion litewski pod dowództwem Eytminowicza był w takim samym składzie prócz tego że nie miał kosynierów; nie pamiętam dowódców kompanii. Jazda pod dowództwem Szumskiego liczyła 130 koni i dzieliła się na 4 plutony, dowodzili niemi Kamiński, Cetnarski, Wyszyński i Malanowski. Wszyscy strzelcy uzbrojeni byli w karabiny z bagnetami. Litwini jednak wozili swoje na wozach a nie chcieli się rozstać z dubeltówkami. Jazda miała szable i karabinki krótkie, prócz tego wszyscy oficerowie i podoficerowie mieli ~~[illegible]~~ rewolwery a nawet i znaczna część żołnierzy. Konie

były dobre, kulbaki wygodne, dostateczna ilość ładownic, mantelzaków etc. Słowem oddział był zaopatrzony we wszystko czego mógł potrzebować. Na domiar obfitości otrzymaliśmy transport złożony z kilkuset krótkich kożuszków bardzo porządnych; był to dar kupców z Brześcia i Międzyrzeca.— Można więc było ubrać wszystkich w jednostajny ciepły ubiór, bo chociaż ciepło było zupełnie, jednak byliśmy już koło Wszystkich Świętych; zima więc lada chwila mogła zajrzeć nam w oczy, a dotąd zaledwie połowa miała kożuszki.—

Ja zachowałem moje dotychczasowe funkcye obożnego, a nawet one jeszcze rozszerzone zostały. Ponieważ jazda nasza często potrzebowała nawet na dłużej ~~czasu~~ opuszczać piechotę dla robienia rekonesansów, spenetrowania okolicy, furażowania i t: p: a nigdy na pewno nie

można było liczyć na jej powrót, przeto dodano mi oddziałek z 14 ludzi złożony którego zadaniem było pełnić służbę obozową w nieobecności innej jazdy tojest zaciągać w koło obozu pikiety; gdy zaś jazda była w obozie ja robiłem różne podjazdy i wyprawy. Krysiński pragnąc aby to był oddziałek wzorowy dał mi wybór ludzi i koni; byli to prócz mnie i mego Franciszka sami wojskowi. Władzę nad nimi miałem nieograniczoną i tylko Krysińskiemu raportować byłem obowiązany. Ciągły ruch i czujność tak wyrobiły tę garstkę że nigdy ona nie zawiodła i lubo przetrzebiona wytrwała do końca powstania. W wigilią Sta Bożego Narodzenia kiedyśmy powtórnie weszli z Galicyi było już tylko 8^{miu} z tych ludzi a na wiosnę 1864 r., na końcu powstania pozostało 5^{ciu}. — Ja dowodziłem nimi bo byli to ludzie prości, lecz przy nich jako sta-

rych wojskowych, uczyłem się nowego dla mnie wojennego rzemiosła. Zaraz na początku uformowania tego oddziałku, czyli jak go potem nazwano mej „bandy" zdarzył się jedyny wypadek uchybienia służbie i karności wojskowej, który został ukarany śmiercią. Rzecz była taka: Miałem między innymi 4ch Węgrów, huzarów Austryackich, nie zbyt karnych; jeden z nich, najgorszy awanturnik, opuścił samowolnie pikietę i pojechał do dworu w Ziemkach, aresztowany bronił się i został skazany na śmierć; inni trzej Węgrzy zbuntowali się i zostali aresztowani. Ponieważ mówili że służą na swych koniach, ze swą bronią, z ochoty nie z obowiązku, więc dałem im do wyboru albo służbę obowiązkową i przysięgę na ślepe posłuszeństwo, albo opuszczenie oddziału bez koni i broni za które im zapłacę. Dwóch wybrało to ostatnie, trzeci przysiągł i bardzo

porządnie od tej chwili się prowadził. Skazany, został rozstrzelany, a owi dwaj odprowadzeni zostali przez jazdę Wróblewskiego do granicy, co im było nie w smak bo zapewne sądzili że dostaną konie i broń jakim sposobem i jako maroderzy będą po okolicy rabować. Dostali z kassy po 100 rs. — Na miejsce trzech ubyłych dostałem trzech nowych i od owej awantury punktualna służba nie została ani razu nadwerężona. Skład mego oddziałku nie zmienił się i śmierć jedynie go uszczuplała. — Z ludźmi tymi byłem ciągle, nie sypialiśmy nigdy inaczej tylko na dworze przy koniach i jeszcze bardziej ugruntowało się we mnie przekonanie że gdyby naczelnicy dzielili trudy swych żołnierzy zamiast ze swemi sztabami zajeżdżać od dworu do dworu, powstańcza armia zupełnie inaczej by się wyrobiła. —

Ciągłe obcowanie, dzielenie niebezpieczeństw i trudów, wyrobiło między nami najsilniejszy może z węzłów — braterstwo broni, jedyne które jest w stanie zatrzeć różnice wychowania, nawyknień i wykształcenia. Że ludzie ci prości bardzo się czuli ujętymi tem że nie opuszczam ich nigdy dla przyjemniejszego czasem towarzystwa, miałem tego liczne dowody; a z czasem i ja zasmakowałem w gawędce z tymi nie uczenie ale naturalnie, zdrowo i poczciwie myślącymi i wyrażającymi się towarzyszami broni. — Dotąd wszystkie te twarze są mi pamiętne i to serdeczną pamięcią. Gdybym umiał, wyrysowałbym ich wszystkich i prawdziwą miałbym radość patrzeć często na ich szorstkie lecz prawe twarze. Stary wachmistrz Turaliński były podoficer dragonów z Kaukazu, był gospodarzem naszego oddziału. Prawdziwy żołnierz, zawsze przemyślny, za-

pasiny, nigdy nie był bez wiktuałów w swych olbrzymich sakwach przy kulbace i nie jadając obiadów sztabowych miałem zawsze u niego posiłek gotowy. Konie nawet wszystkie mam dotąd przed oczyma; każdemu z nich Turaliński dał nazwisko, moja klacz szpakowata nazywała się: Dosia, a gniady koń: Bęben. Gdy na jednym siedziałem drugi biegł luzem i tak były obłaskawione że każdy z nich do ręki na zawołanie przychodził, i to natychmiast. —

Nie mogę przemieść na sobie aby tu przynajmniej nie uwiecznić imion tych moich towarzyszy. Umieszczam więc listę mej, tak zwanej „bandy", wraz ze stanem służby każdego: —

1° Dorosz, ułan austryacki, zginął pod Rososzem. —

2° Franciszek, ranny pod Rososzem, został w szeregach. —

3° Ziemba, ułan rossyjski, zginął pod Kolanem.
4° Szober, czech, kiryssyer austryacki, zginął pod Malinówką. —
5° Baraniuk, ułan rossyjski, ranny pod Malinówką, poszedł do szpitala. —
6° Pester, Węgier, huzar austryacki, ranny pod Malinówką, został w szeregach
7° Białecki, ułan b. w. polskich, padł pod Ziemkami zabity lub ranny wzięty do niewoli. —
8° Kubiak, ułan pruski, ranny pod Ziemkami poszedł do szpitala. —
9° Turaliński, wachmistrz, dragon rossyjski ranny pod Ziemkami został w szeregach.
10° Paszkowski, ułan austryacki, ranny pod Ziemkami został w szeregach. —
ranny i wzięty do niewoli pod Sernikami.
11° Michalski, ułan austryacki, zginął pod Hutą Krzeszowską.
12° Markiewicz, szasser byłych wojsk polskich.

13° Piszczatowski, strażnik graniczny rossyjski.

14° Kański, ułan pruski, ranny pod Hutą-Krzeszowską, został w szeregach. Zginął w Wigilię Boż: Nar: podczas marszu z Galicyi. —

15° Ja, podporucznik, ranny pod Sernikami zostałem w szeregach. —

Zebranie

Zginęło — — — — — —	5.
Rannych, odesłanych do szpitala —	2.
Rannych, wziętych do niewoli — —	2.
Rannych, pozostałych w szeregach — — —	4.
Wcale nie rannych — — — — — —	2.
Razem — — — —	15.

Odtąd oddałem się zupełnie mojej małej komendzie, w wolnych chwilach czytywałem im opowiadania z żywotów świętych lub historyi polskiej, a nawet czytać i pisać ich uczyłem, co łatwo mi poszło, bo każdy miał

jakie takie początki. Starzy wojskowi polscy, pruscy i austryaccy, czytali i pisali wcale dobrze, rossyjscy jedynie, prócz Turalińskiego mało co umieli po rusku, a prawie nie po polsku. Turaliński miał nawet pretensyę do ortografii lubo pretensya ta nie zawsze bywała usprawiedliwiona. —

Nadszedł dzień 4 listopada t: j: imieniny naczelnika. Lerbas dostarczył różnych wiktuałów, przybyło nawet kilka osób z okolicy, były ognie bengalskie, fajerwerki, muzyka, illuminacya i t.p. —

Komendy nieprzyjacielskie czy miały o nas przesadzone wiadomości, czy też czekały aby wspólnemi siłami stanowczy cios nam zadać, dość że zostawiały nas w spokoju. We Włodawie mówiono że mamy do 5000 ludzi, że mamy armaty, żeśmy się ufortyfikowali i t.p. W tem wszystkiem było tyle prawdy

że mieliśmy race z granatkami i że pokopaliśmy przy wejściach do naszego obozowiska rowy z nasypami mogącemi chronić strzelców w razie ataku.—

Czas schodził na musztrach i wprawianiu się w obroty wojenne, było także strzelanie do celu, fechtunek i t. p. ćwiczenia tak ludzi, jak koni.—

Podczas naszego pobytu na Lipniaku podsuwały się nie jednokrotnie ku nam podjazdy nieprzyjacielskie, mianowicie kozackie.

Na dróżce wiodącej z Lipniaka do Bud Wytyckich stał dąb z konarem wyciągniętym nad dróżką, w miejscu gdzie ona się skręcała raptownie. Konar ten był tak nizko że jeździec musiał się dobrze schylić aby pod nim przejechać. Dziś niema już tego dębu. Oddział kozaków chcąc wybadać co robimy podsunął się tą dróżką i natknął na naszą

pikietę która dała ognia. Paru kozaków puściło się za nią i jeden z nich padł na miejscu z roztrzaskaną o ten konar głową. Ponieważ zaraz pospieszyłem w tę stronę, zastałem go więc na miejscu, inni oddalili się. —

Raz, na wiadomość że oddział kozaków przyszedł w nocy do Wytyczna, Krysiński wyprawił kilka hufców naszej jazdy aby go z różnych stron zaskoczyła. Ja z moją bandą miałem wpaść od strony Włodawy. Idąc cicho w ciemności ujrzałem przed świtem pikietę kozacką. Wyprawiłem dwóch swoich aby ją zaskoczyli bo zdawało mi się że drzemie i tak się to udało że kozak bez strzału został sprzątnięty. Wpadliśmy do wsi gdzie zrobił się rwetes straszny, kozacy na prędce dosiadali koni i uciekali ku dworowi. Nas było 15 ich z 50^{ciu}, wiedziałem że jak się opatrzą i zwrócą to będzie źle, trzeba więc było nadrabiać miną i wjeżdżać aby nie

dać czasu na opamiętanie, a tymczasem innych naszych oddziałów ani widać. —

Stary Kozak jadący na końcu ciągle wołał: „pastojte mołodcy! lachów nie mnogo!" Nareszcie stanęli i rzucili się ku nam, szczęściem nieopodal była karczma tam kazałem zawrócić, wjechaliśmy do stajni, zabarykadowali się i z okien i przez szpary w ścianach poczęli strzelać. Trwało to kilka minut. Kozacy już przynieśli słomy aby nas upiec, gdy nareszcie jeden od strony dworu, drugi od strony Cerkwi ukazały się dwa nasze oddziały i kozacy pomknęli ku Włodawie.

I my także ku nim podsuwaliśmy się parę razy. Pamiętam dwa napady nocne na Włodawę w których miałem udział, a było ich więcej beze mnie. —

Raz wpadliśmy traktem od Suchawy, na rogatce było tylko dwóch piechurów którzy strze-

 56

lili i gdzieś znikli, wpadliśmy do miasta, jakiś moskal pędzący z latarnią i drugi chcący, ale nie mogący dobrze, trąbić, bo był rozespany zostali porąbani, nie wiem czy na śmierć, na rynku. — Wśród alarmowych trąbek i bębnów znikliśmy równie prędko jak się zjawili. —

Ale pokazuje się że nie należało tego zbyt często powtarzać. Gdyś powtórnie wpadliśmy traktem od Rożanki, Kozak stojący przy rogatce dał ognia i uciekł. Otworzyliśmy szlaban lecz zaledwie sto kroków po za rogatkę ujechaliśmy gdy przyjęła nas salwa ukrytej a widocznie zawczasu przygotowanej piechoty. My więc naprzód, a tu drugi oddział zamyka rogatkę i znów przyjmuje nas ogniem. Trzeba było przerzynać się przez zagradzających drogę, a byłoby jeszcze gorzej, gdyby Moskale byli zamknęli na klucz rogatkę gdy tymczasem

oni kontentowali się tem że jeden z nich trzymał szlaban za łańcuch, a że widocznie musiał paść lub przynajmniej oberwać guza w tem starciu więc wypuścił łańcuch z ręki i rogatka w najkrytyczniejszej chwili sama się otworzyła. Ja jednak z kilkoma już byłem za rogatką, konie nasze ją przesadziły. W tej okazyi zginęło jednak dwóch czy trzech ale nie z mej bandy tylko z tej części jazdy Szumskiego która nam w napadzie towarzyszyła. Gdy ubiegłszy kilkaset kroków i niebędąc ścigani obliczaliśmy się pokazało się że między innymi brakuje tak zwanego „Koguta" to jest jednego z jazdy Szumskiego który doskonale pianie koguta naśladował i był czasem używany do dawania sygnałów gdy ani trąbki, ani świstawki używać nie było można. Jeszcześmy go nie odżałowali gdy w odległości

pianie dało się słyszeć a wkrótce i sam artysta się zjawił. On utrzymywał że wymknął się z matni pomiędzy domami, inni twierdzili że korzystając z ciemności pofolgował instynktowi zachowawczemu, pozostał w tyle i wcale przez rogatkę nie przejeżdżał. Kwestya ta pozostała tajemnicą. —

Dla dania zajęcia żołnierzom robiliśmy i udane napady. Gdy jeden oddział trzymał straże, inny starał się go podejść lub niepostrzeżenie wkraść się do obozu. Moja komenda zawsze trzymana w czujności i u której pierwszem prawem było bez wyraźnego rozkazu pod dach nie wchodzić, nigdy zaskoczyć się nie dała, a raz nawet zawstydziła któryś z oddziałów jazdy Szumskiego. Wtenczas bawił u nas Kruk. Wyszedłem z moją bandą drogą ku Zienkom, dla rozpoznania uwieliśmy lewe ramię prze-

wiązane chustką. Potem zrobiwszy koło, podsunęliśmy się ku obozowi od strony Woli Wereszczyńskiej i przez bagna prowadząc konie w ręku ominęliśmy nasze pikiety. Dla zamaskowania tego ruchu paru moich jeźdźców ukazało się pikietom w innej stronie. Gdy już byliśmy na twardym gruncie wsiadłszy na koń puściliśmy się galopem i obskoczyli kwaterę Kruka i Krysińskiego. Podczas gdy Kamiński i inne plutony jazdy Szumskiego trąbiły dopiero alarm i dosiadały koni ja już wszedłem do kwatery naczelników i z uśmiechem powiedziałem: „panowie złóżcie broń bo dom otoczony!" Kruk w pierwszej chwili nie zrozumiał co to znaczy bo nie wiedział o komedyi. Potem jednak dał reprymandę oficerowi który podówczas trzymał straże a mo-

jej bandzie pozwolił na lewem ramieniu nosić szewrony, które też zaraz jakaś kuryerka, reprezentująca piękność, jako nagrodę cnoty rycerskiej, z białej tasiemki w braku galonu nam przyszyła. —

Tak na Lipniaku, jak w czasie późniejszych wędrówek i awantur, przy posiłku i spoczynku, toczyła się zawsze, na wpół wesoła, na wpół poważna gawędka. Życie wojskowe, ale nie w pokoju, tylko w czasie wojennym, jest szkołą w której wyrabia się prawdziwa religijność, głęboka wiara, a nawet zabobon. Stary wachmistrz Turaliński wierzył mocno w złe i dobre godziny a zaczepiany przezemnie w tym przedmiocie ze swoją prostą logiką odpowiadał: —

„Jak nie wierzyć? Ja człek prosty, nie wiem „co o tem w książkach piszą, ale wiem że „są złe i dobre godziny bo człowiekowi raz

„dobrze, a drugi raz bieda. Więc lepiej nie
„budzić licha żeby nie wymówić w złą go-
„dzinę, a co komu zapisano, to go i tak
„nie minie. Ot! mnie na Kaukazie ko-
„zaczka Kubańska, czarownica powiedziała
„że w ten ot mental kula czerkieska trafi,
„a dostałem ten mental za to żem czerkieskie-
„go jenerała żywkiem złapał. A miał ten
„jenerał taką szablę okutą w dyamenty, co
„jakem ją sprzedał armianowi, tak jakby u
„nas żydowi, tom za nią całemu pułkowi
„taki bal sprawił że nikt ani ręczką ani
„nóżką ruszyć nie mógł. Sam pułkownik
„pił za moje zdrowie i byłby do kwatery nie
„zaszedł żebyśmy go byli nie zaprowadzili.
„Jak mnie ta czarownica to powiedziała, tak
„mnie się zrobiło trochę markotno. Zrobi-
„łem se poduszeczkę z pakuł i nosiłem
„rychtyk pod mentalem, alem potem i

59

„ zapomniał. Aż tu później idziemy na wy-
„ prawę w góry, a góry takie co czasem trzy
„ dni człowiek jedzie zanim na wierzch dojedzie
„ a potem znów trzy dni na dół się spuszcza
„ tak że koń na zadzie jak saniami jedzie. —
„ Gorąco takie że aż skóra pęka, porozpinowa-
„ liśmy kitle i tak jedziemy, aż tu Czerkiesy
„ paf! paf! przepędziliśmy ich, ale ja pod
„ wieczór wdziewam mój kitel a tu w nim
„ kula — rychtyk w mental trafiła i aż się
„ spłaszczyła. Żebym go miał na sobie
„ byłoby po mnie." —

Michalski, ułan austryacki prawił o wojnie włoskiej, a gdym mu się sprzeciwiał dla czego dali się pobić pod Solferino.

„ Trudno panie — mówił — człek sam nie
„ poradzi. Jakeśmy panie poszli na Italia-
„ nów, tośmy ich panie het! precz! na
„ cztery wiatry rozegnali. Dalej, panie,

„ stał sam ich król, my panie do niego,
„ a on panie krzyczy, do mnie chłopcy! stać!
„ bo nas rozniosą! Ale gdzie tam bylibyśmy
„ go panie zabrali, ale z boku panie król
„ francuski pędzi z kirysyerami, musieliśmy
„ panie z nimi się zabawić, a tymczasem
„ król italiański, pozbierał panie swoje woj-
„ sko. Żeby panie jenerałowie nasi prowadzi-
„ li panie jak się należy, to byśmy panie
„ obu tych królów, Cesarzowi naszemu przy-
„ prowadzili". —

Żeby to można z Moskalami tak się urzą-
dzić, jak wyście się z Czerkiesami i Italia-
nami urządzali, mówiłem. —

„ Na to trzeba żołnierzy, a nie takich re-
„ krutów prawił stary poznańczyk, — były
„ ułan pruski — u nas to po prusku: still!
„ porządek! stuch! a tu zaś chichy! śmie-
„ chy. Żeby choć tak jak nie chwalać się w

„naszej komendzie, ale gdzie zaś. Oł! wóczą
„się, a zaś najbardziej ta kawalerya. Chodźmy
„tam bo dobry dwór, tam znów dobra stajnia,
„a zaś tam panny. Zbytki i tyle! Boże od-
„puść, a zaś żaden huncfot! nie pamięta że
„ani się obejrzy jak przed Bogiem z grzeszną
„duszą stanie". —

„Strach do czego przyszło — konkludował sta-
„ry Białecki były ułan polski — a to wszystko
„że niema subordynacyi. Za naszych czasów,
„to na kozaka nikt nie chciał patrzeć. Raz
„pamiętam wychodzimy z krzaków a tu
„na polu kozacy. Nasz rotmistrz powiada:
„co chłopcy! nie będziemy sobie lanc pa-
„skudzić tą hołotą! narznać dobrych prętów
„leszczynowych i dalej na nich! My w śmiech
„a oni w nogi. Jednemu to wypałem w plecy
„ze sto kijów aż z munduru strzępki tylko zo-
„stały, a on konia okładał nahajką i krzyczał

„pamiętaj! pażałuj! — A teraz to taki zdrowe
„jak krew z mlekiem chłopaki, nie wstydzą
„się przed Kozakami ucichać. — Koniec świa-
„ta! powiadam. — Ale co poradzisz na to ki-
„dy my tylko służbę znamy, a te piecuchy
„w słomie leżą i jeszcze im twardo, to też
„się praca nasza zmarnuje". —

— „Cicho stary! będziem swoje robić a i
„drudzy się przy nas nauczą" — przerywałem.

— „Taż nie co tylko będziem robić, ja im
„też mówię i beszłam nawet co się zmieści,
„ale to wszystko pożal się Boże! gdzie im to
„w głowie! To dobrze że pan porucznik ma
„w swej komendzie samych żołnierzy, bo
„choć co prawda to tylko ja i Markiewicz
„prawdziwą służbę za Wielkiego Księcia zna-
„my, to i reszta przecie choć w jakiem-ta-
„kiem wojsku służyła i cośkolwiek rozumie.
„Ale niechby panu porucznikowi przyszło ko-

 61

„ manderowaé nieprzymierzając temi paniczami
„ od Kruka, co to sami oficerowie a na pikiecie
„ stać nima komu, albo od Szumskiego co poło-
„ wa ich z prawej strony na koń siada; to by
„ pan porucznik z przeproszeniem na to wszy-
„ stko plunął i rzucił do dyabła, albo by sam
„ jeden sypiał przy koniu na dworze, bo oni
„ by się wszyscy do chałup pochowali, jak
„ mi Bóg miły!“ —

W tym rodzaju gawędy toczyły się przy ogniskach obozowych. Turaliński otwierał swe bezdenne sakwy i sięgał do niesłychanej wielkości kieszeni, i z etykietą wojskową podawał mi manierkę i czysto wytarty kubek. Czarka krążyła dalej, jeżeli obóz cały gotował w kotłach, to przynoszono krupnik w blaszanych kociołkach jakie każdy z nas miał przy mantelzaku, w przeciwnym razie spiżarnia Turalińskiego

dostarczała specyałów a w najgorszym razie był chleb ze słoniną którą przyskwarzało się na ogniu. — Tymczasem obok nas konie chrupały obrok w torbach. —

Nareszcie w połowie Listopada wyruszyliśmy z Lipniaka, nadeszła bowiem wiadomość że oddział nieprzyjacielski znajduje się w Holi o milę od nas, postanowiano sprobować na nim naszej nowej broni. Obszedłszy lasami już-eśmy się zbliżali do Holi gdy nieprzyjaciel opuszczał się przeciwną stroną. Posuwaliśmy się za nim aż do Rososza, lecz i to miasteczko opuścił udając się w stronę Łomaz. Nie mieliśmy jazdy prócz mej bandy gdyż była gdzieś porozsyłana w czasie gdy wiadomość przyszła. Nie mogliśmy więc ścigać nieprzyjaciela który zdawał się unikać bitwy. Stanęliśmy więc w Rososzu gdzie szumiały nasze kotły, patrol mój przypro-

wadził skrytanego w lesie oficerskiego sługę który powiedział nam że mamy przed sobą cztery roty i szwadron ułanów. —

Jużeśmy się niespodziewali spotkania z nieprzyjacielem, gdy placówka nasza od strony Łomaz dała ognia. Rekonesans który zrobiłem z Krysińskim przekonał nas że nieprzyjaciel powraca. Batalion Eytminowicza zajął ogrody przed miastem i rozsypał swych strzelców w rowach. Batalion zaś Bardeta rozłożył się na lewo na polu i zajął podobnież będące tam rowy. Tym sposobem Eytminowicz stanowił nasze prawe a Bardet lewe skrzydło. W środku pomiędzy nimi był staw i trzęsawiska a nieco w tył szluza i most przez który oba oddziały mogły z sobą komunikować, koło tej szluzy stał Krysiński i ja z mą małą komendą. Za batalionem Bardeta leżeli na ziemi kosynierzy dla użycia w razie potrzeby. —

Litwini Eytminowicza nie chcieli rozstać się z dubeltówkami a wziąć karabiny które bezczynnie na furgonach leżały. Dopiero przekonawszy się że na czystem polu, a zatem w znacznej odległości strzelby ich są zupełnie bezskuteczne, zgodzili się wziąć karabiny które moja komenda musiała im już pod ogniem nieprzyjacielskim rozdawać, równie jak ładunki. —

Wkrótce nieprzyjaciel rozwinął się przed nami i rozpoczął ogień coraz żwawiej z obu stron podtrzymywany. Z początku główne usiłowania skierowane były na Bardeta. Nieprzyjaciel chciał go rzucić w błota lecz gdy to się nie udało, zwrócił wszystkie siły na Eytminowicza który musiał się cofnąć do miasta. Już nieprzyjaciel zajął jedną ulicę i rzucił swą kawaleryę na rynek. Chwila była krytyczna gdy kompania

Ossera i moja banda powiększona wszystkimi sztabowcami, ordynansami itp. pospieszyły z rozkazu Kryńskiego, Litwinom na pomoc. Położenie się zmieniło. Litwini którzy cofnęli się do domów, teraz tym straszniejszymi stali się dla ułanów przebiegających ulicę i padających pod strzałami z okien wymierzanemi. Gdy jeszcze Osser wzdłuż ulicy rozpoczął skuteczny ogień, cała ta jazda zupełnie się zmieszała i pierzchła. Wtedy moja banda dotąd za domami ukryta wpadła na ich karki i zaczęła się rąbanina. Ułani pomiędzy domami przez płoty i rowy na pola uciekali. Tu jeden z moich Dorosz padł przeszyty kilkoma lancami. Franciszek obskoczony przez dwóch już miał szeroką ranę przez twarz. Pospieszyłem i cięciem z tyłu w głowę uwolniłem go od jednego, a on tymczasem drugiego tak silnie

w kark ugodził że lubo szabla mu się zwinęła i rany nie zadała jednak padł on na miejscu ze zbitemi kręgami. Oficer rossyjski Dwernicki, syn generała, zawisł w tym popłochu z koniem na płocie. Dojeżdżając go krzyknąłem mu nad uchem: „nie ujdziesz Dwernicki!“ bo znałem go przed powstaniem. On zaś dał do mnie prawie „à bout portant“ trzy strzały z rewolwera; już go dosięgałem, gdy żerdź pękła, koń dostał nogami ziemi i pomknął jak strzała. —

Zmięszanie jazdy nieprzyjacielskiej pod gęstym ogniem Litwinów i kompanii Ossera i rzucenie jej na piechotę ubezwładniło chwilowo tę ostatnią. Uchwycił tę chwilę Krysiński i pchnął do ataku całe lewe skrzydło co zmusiło do cofnięcia Rossyan i odcięło tych którzy się byli pierwej za

dalеko w miasto posunęli i którzy zginęli lub się poddali. — Ułani już nam się wcale nie pokazali, a piechota nieprzyjacielska ściskając szeregi i odstrzeliwając, odprowadzona jeszcze naszemi strzałami cofnęła się do Biały. My zaś odesławszy rannych tak swoich jak nieprzyjacielskich do Kolana gdzie był szpital poszliśmy na noc do Polubicz. —

Straty nasze wynosiły 30 przeszło zabitych i ciężko rannych. Czy nieprzyjaciel wziął z sobą i ilu rannych nie wiem. Pamiętam jednak że po bitwie na placu zebraliśmy 50 przeszło z piechoty i 14 czy 15 ułanów a prócz tego 17 jeńców zdrowych którzy się poddali w budynkach. Bitwa ta poszła bardzo porządnie; nie było lasu, ani zarośli, wszystko się działo pod okiem oficerów, co dodawało ambicyi, nikt nie mógł chronić się cichaczem. Dla tego też po bitwie

gdyśmy zebrali poległych i rannych poka-
zało się że brakuje nam tylko dwóch, któ-
rzy w chwili kiedy piechota litewska cofa-
ła się do miasteczka padli ranni i porwa-
ni zostali przez nieprzyjaciela aby miał choć
cokolwiek pokazać za powrotem do Biały. Jednak
i to się nie udało, widać było sądzono że ani
jednego literalnie, nie będzie nam brakować,
gdyż ci dwaj uwolnieni zostali w drodze szcze-
gólnym sposobem. Gdy cofający się do Bia-
ły nieprzyjaciel stanął w nocy na spoczy-
nek czy też dla wyszukania drogi; jeden
Tatar z pobliskiej wsi Tupalski ze Studzianki
który służył poprzednio w oddziale, zakradł
się cichaczem prawie w środek obozu i po-
czął strzelać z rewolweru krzycząc: naprzód!
hurra! bij! morduj! — Korzystając z zamie-
szania jakie z tąd powstało właściciel furman-
ki na której leżeli dwaj nasi ranni zaciął

65

konie i pojechał z nimi. Obaj się wyleczyli a jednego z nich często potem widywałem. Był to ów Paukiewicz znaleziony później w biórze naczelnika powiatu radzyńskiego z powodu którego kilka osób było aresztowanych w onej okolicy. —

Na trzeci dzień po bitwie pod Rososzem stanęliśmy w Kolanie, niedługo przybyła tam kawalerya litewska pod Wróblewskim, witali się więc Litwini nasi z nimi, my zaś usunęliśmy pod las koło jakiegoś folwarczku niecopodal Kolana i tam obozowaliśmy gdy strzał armatni podniósł nas na nogi. Nieprzyjaciel zaatakował Litwinów w Kolanie którzy w nieładzie cofnęli się ku nam lecz czując pomoc niebawem się zformowali i zaczęła się bitwa ogólna. Nasi ustawieni brzegiem lasu utrzymywali silny ogień. Część naszej jazdy wróciła, mieliśmy już trzy plutony, brakowało tylko czwartego z którym Szumski poszedł po

broń dla nowych oddziałów nad granicę. Nieprzyjaciel cofał się chcąc naszych wywabić z lasu to mu się jednak z początku nie udawało. Krysiński kazał mi wziąć jazdę i objechać z nią nieprzyjaciela a gdy ujrzę rozwinięty sztandar uderzyć. Tymczasem począł wysuwać swoje kompanije z lasu i rozwijać je przed nieprzyjacielem. Gdy już się znacznie od lasu oddaliły jazda rossyjska rzuciła się na nie, lecz one zwinąwszy się w czworoboki cofały się ku lasowi i nawet w las zagłębiły. Nieprzyjaciel naciskał je i piechota rzuciła się nawet w las z bagnetem do ataku lecz została przyjęta tak gęstym ogniem krzyżowym ze strony cofającego się batalionu Bardet'a i będącego w zasadzce Eytminowicza że spiesznie wybiegła na pole a jeden z żołnierzy został w miejscu dał ognia przeciw swoim

i połączył z naszymi. Wtedy cała nasza piechota wybiegła z lasu z rozwiniętym sztandarem. Widząc to daliśmy ognia i rzucili na furgony nieprzyjacielskie. Jazda więc rossyjska zamiast być użytą przeciw piechocie musiała spieszyć ku nam. Nie mogliśmy ryzykować starcia z dragonami i ułanami których była w dwójnasób większa siła nie licząc kozaków; kontentując się więc zabraniem dwóch dobrych oficerskich koni, trochy płaszczy i kociołków jakie były na furgonach rozsypaliśmy się w tyralierkę i w ten sposób zajmowali nieprzyjaciela. —

Zwycięstwo naszej piechoty byłoby zupełne gdyby nie to że nowy oddział nieprzyjacielski ukazał się na tyłach Krysińskiego i natychmiast wziął udział w walce. Położenie więc stało się krytyczne i nie

było ani chwili do stracenia. Krysiński który miał tę zaletę że się prędko orientował i zaraz decydował, zebrał szybko swój oddział, opuścił pierwszego nieprzyjaciela, uderzył na pierwszą jaką spotkał kolumnę nowego, rzucił ją na błota, przeszedł błotnistą strugę, zebrał most za sobą i wycofał bez szkody. Ja nie mogłem wiedzieć co się tam dzieje. Nieprzyjaciel zaś widząc że ogień tylko u nas trwa jeszcze tam rzucił wszystkie swe siły. Cofaliśmy się Łańcuchem tyralierskim wraz z jazdą Wróblewskiego ciągle się odstrzeliwując a gdy nieprzyjacielska jazda wykonała na nas szarżę uciekliśmy kilkaset kroków lecz bez zamięszania, przebyli rów którego on nie widział i tam zsiadłszy z koni przyjęli go gęstym ogniem. — Potem znów na konie i w nogi, i znów

przy nowej przeszkodzie z koni i do karabinków. W ten sposób wyszliśmy po za obręb strzałów piechoty i umknęli otwartego starcia z przeważną jazdą, która nareszcie zaniechała bezużytecznej pogoni. Późnym wieczorem stanęliśmy w Chorostycie gdzie już był Krysiński. W tem spotkaniu piechota nasza miała do 20 zabitych i ciężko rannych, jazda nasza kilku i Wróblewskiego tyluż. Z mej bandy poległ tu Ziemba. Straty nieprzyjacielskie nie są mi wiadome. —

Przenocowawszy poszliśmy ku południowi, marsz jednak był wolny bo ludzie a szczególniej konie utrudzone były bardzo. Nazajutrz przeszliśmy Hańsk i stanęli w Rudce pod lasem. — Mając powierzone utrzymywanie kassy odbierałem właśnie pieniądze od nieboszczyka Niecielskiego, gdy strzał się rozległ. Zgarnąłem pieniądze, pan N: zniknął bez

pokwitowania, a gdym dosiadał konia już ukazali się Kozacy tuż ścigający naszą pikietę. Od strony Hanska w Rudce jest młynek tam stała w pogotowiu nasza piesza placówka i przyjęła ogniem kozaków; jeden spadł — inni uciekli. Opuściliśmy wioskę i uszykowali się pod lasem. Nieprzyjaciel już się rozwinął i chociaż placówka nasza szybko zdjęła dyle z mostu na śluzie, przeprawiał się w bród przez rzeczkę. Wnet ozwały się działa i ogień ręczny. Odstrzeliwaliśmy się z pod lasu. Kartacze i granaty których nam nie żałował nieprzyjaciel nie robiły żadnej szkody. Noc nadchodząca położyła kres obustronnym działaniom. Mieliśmy tylko jednego rannego któremu granat urwał rękę. Czy nieprzyjaciel stracił kogo prócz kozaka co padł przy młynku — nie wiem.

Byliśmy więc ścigani ciągle, bez wytchnienia. Wróblewski rozłączył się z nami w Chorostycie aby dać fałszywy kierunek pogoni, lecz nieprzyjaciel nie dał się oszukać. Widocznem było że nową bitwą potrzeba wywalczyć sobie jakiś czas spoczynku. Cofaliśmy się więc do ku Łowczy dla połączenia z oddziałem Czricha który pod dowództwem Kozłowskiego tam dążył. W nocy na ciemnych drogach, oba nasze bataliony rozminęły się i jeden z nich zaszedł jak się pokazało do Bukowy, musiałem więc całą noc z kilkoma ludźmi z moich szukać go i przyprowadzić. Przejeżdżałem koło tej samej Rudki którą zajął nieprzyjaciel tak blizko żem słyszał śpiewy żołnierzy. Minąwszy tę wioskę usłyszeliśmy w jej stronie kilkanaście strzałów. Kazałem wrócić i znów stanęliśmy pod Rudką lecz panowała tu cisza zupełna. Później dowiedziałem się że re-

konesans Kozłowskiego szukający nas, wszedł w nocy do Rudki. Żołnierz nieprzyjacielski odpowiedział mu po polsku i powiadomił że tu stoi Krysiński. Nagle ci nieszczęśliwi obskoczeni zostali ze wszech stron i chcąc utorować sobie drogę 9^ciu^ z nich poległo a jeden tylko ocalał. — To były właśnie strzały które słyszałem. —

Nareszcie oba bataliony nasze połączyły się w nocy i stanęły za Łowczą w lesie pod Malinówką. — Rekonesans nasz znalazł oddział Kozłowskiego i powiadomił o miejscu naszego pobytu. Nazajutrz jeszcze było ciemno kiedy oddział ten nam się ukazał. Doniósł on nam złą wiadomość że Szumski nocując w Tarnawce stracił prawie cały swój pluton jazdy i z kilkuna tylko ludźmi ocalał. Powodem tego była zawsze ta sama wada: żołnierze

nocowali w stajni a oficerowie we dworze, napadnięto stajnię i wybito lub wzięto tych co tam się znajdowali gdy nocujący we dworze uciekli. —

W chwilę po przybyciu Kozłowskiego ukazał się nieprzyjaciel i rozpoczęła bitwa. — Był to Borozdin, ten sam który przybył pod czas bitwy pod Kołaczem i który zaatakował nas wczoraj pod Rudką. Poznaliśmy go zaraz po gorączkowej szybkości ataku. — Od razu kolumny jego z bagnetem w ręku poszły na naszą piechotę, lecz ogień z lasu i zarośli zmusił je do odwrotu. Na naszem prawem, jazdy ucierały się z sobą; ja jednak wraz z mą bandą zatrzymany zostałem przez Krysińskiego przy jego boku. Pozsiadawszy więc z koni wzięliśmy karabiny których nie brakowało i wraz z piechotą utrzymywali ogień. Wten-

czas można się było dowodnie przekonać że staranność zawsze się na coś przyda. Konie nasze (t. j. mej bandy) były niezwykle oswojone będąc ciągle z nami, śpiąc kładły głowy na swych panach, na głos przychodziły. Mój koń luźny nigdy nie był na powodzie prowadzony a jednak nawet w bitwach, w największem zamięszaniu zawsze się swoich trzymał i schwytać nie dał. Na całym świecie gdy jazda dragońska zsiada z koni by pełnić służbę piechotną, to jednak połowa jej zostaje na koniach i trzyma drugą połowę koni. My zsiadaliśmy wszyscy, konie puszczone luzem nie oddalały się, pomimo że ~~niedaleko~~ parę razy jazda nieprzyjacielska właśnie na spieszonych nas uderzyła z wielkim wrzaskiem i konie starała się straszyć.—

Po za naszą jazdą ustawiony był przyrząd

do rzucania rac które mięszały szyki ułanów rossyjskich. Nieprzyjaciel otworzył ogień kartaczami z 4ch dział od których poległ nasz rakietnik, miejsce jego zajął ktoś inny. —

Tymczasem Eytminowicz poprowadził krzakami kosynierów i rzucił się na armaty. Kosynierzy zachęceni przykładem tego dzielnego człowieka szli dobrze, wytrzymali jeden wystrzał kartaczami z czterech dział; po drugim pierzchli, właśnie w chwili kiedy nieprzyjaciel nie miał już czasu dać trzeciego i nie mógł skutecznie bronić swych dział bo ze wszystkich stron był zaatakowany. Uciekając ponieśli większą klęskę bo trzeci wystrzał kartaczów i omal nie zostali porąbani przez jazdę która się za nimi puściła. Eytminowicz zdołał ich jednak w czworobok uszykować i cofać się z nimi do lasu, a tym-

tymczasem Kozłowski przy którym znajdowałem się właśnie z jakiemś poleceniem Krysińskiego, kazał mi biedz aby rakiet użyto. Zastałem znów posadę rakietnika wakującą. Niewiedziałem z początku jak się wziąść do tego, lecz po dwóch za wysoko i za nizko wyrzuconych, dalsze poszty lepiej i udało mi się kilka raz rzucić w sam środek dragonów których konie spłoszone dziwnym świstem i szumem jakie wydawały rakiety, trzaskiem pękających granatków i sypiącemi się na około iskrami zupełnie złamały szeregi. Konie moje nawet huzem stojace tym razem mało ze skóry nie wyskoczyły, stawały dęba, biegały w kółko, chrapały lecz nie oddalały się i na głos przychodziły do ręki.

Wnet jednak artylerya moja umilkła,

kartacze nieprzyjacielskie tak zmiotły stolik z którego puszczałem race i stołek na którym stałem że sam znalazłem się w krzakach dobrze potłuczony. Dosia przyszła do mnie natychmiast a za nią Bęben i obwiązały mnie. Siadłem na koń i pojechałem do Kryzińskiego. —

Bój wrzał coraz goręcszy. Borozdin z atakującego stał się atakowanym. Nasi wyparli go z lasku i przeszli na otwartem polu. —

Przybycie nowych sił nieprzyjacielskich które od Lublina szły za Kozłowskim, zmieniło stan rzeczy. Musieliśmy pozycyę zmienić bo nowy nieprzyjaciel był na naszych tyłach i znów przeszliśmy na broniących się. —

Sumiennie muszę powiedzieć że oba oddziały w dniu tym prowadziły się zu-

zupełnie dobrze. Po parugodzinnem usiłowaniu, nieprzyjaciel lubo świeżo wzmocniony, wyparty został z lasu na tem samem prawie miejscu gdzie przed tem. —

Nie tu był jednak koniec tej upartej bitwy. W naszych oczach nowo przybyłe z Dubienki posiłki nieprzyjacielskie zsiadały z furmanek, szykowały się i uderzały na nas. —

Myśleć o zwycięstwie już nie było można, chodziło tylko aby się nie dać zgnieść. —

Byliśmy zupełnie otoczeni. Dziesięć czy dwanaście dział i przeszło trzy tysiące ludzi świeżych ściskało nasze dwa koło 1500 ludzi liczące oddziały od kilku dni w ciągłych utarczkach będące. Przeszło dwóch żołnierzy na jednego rekruta, sto-

sunek dla nas wcale nie obiecujący. — Każdy widział że trzeba się przerznąć lub zginąć. — Dla dopięcia tego należało opanować wzgórze leżące przy drodze do Sawina zarosłe lasem wysokopiennym i pod zasłoną oddziału tam się odstrzeliwającego cofnąć na Sawin, przejść błotnistą rzeczkę Uher, i wejść w lasy na prawym jej brzegu położone. —

O wzgórze to od tej chwili głównie walka się toczyła, lecz nieprzyjaciel rozumiał dobrze że jak je utrzyma — wszystkich nas mieć będzie. —

Począł się więc trzeci akt tej walki najuparciej toczony. Ogień obustronny był tak silny, że dawni wojskowi utrzymywali że nawet w wielkich bitwach, na jednym punkcie tak gęsto kule nie padały i ziemia tak szybko trupami się nie pokrywa-

ta. — Naczelnicy sami i oficerowie z karabinami w ręku szli na czele swych kompanii na owo smutnej pamięci wzgórze. Nie było okrzyków, ani zachęcań, każdy szeregowiec pojmował że mały ten lasek musi być jego cmentarzem lub portem w którym znajdzie ocalenie. —

Trzy razy wydarł się z piersi naszych okrzyk radości gdyśmy dotykali tych sosen tyloma kulami podziurawionych i tyleż razy z boleścią słyszeliśmy grzmiące hurra! nieprzyjaciela gdy wzgórze to odzyskał.

Już późnym wieczorem po raz czwarty, stanęliśmy na tem wzgórzu. Kompania wyborcza z oddziału Kozłowskiego, strasznie zdziesiątkowana kompania Leszczyńskiego, Naczelnicy, oficerowie, część Litwinów z krwią okrytym Eytenimowiczem na czele, moja komenda, wszystko w poszarpanych o krza-

ki łachmanach, czarne od dymu, z ostatkiem sił wtargnęło znów w lasek. — Bardet, Pisaferi, Osser i reszta Kozłowskiego odstrzeliwali się innym kolumnom nieprzyjaciela. —

Zaczęła się w samym lasku mordercza bitwa, strzałów już nie było, bo nabijać broni nikt nie miał czasu, kilka ~~[illegible]~~ tylko działa sypnęło kartaczami i kilkanaście rewolwerowych strzałów huknęło. Zamięszanie coraz większe, mrok zapadał, zgrzyt kos i bagnetów, krótkie wykrzykniki i szelest przyspieszonych oddechów, a wśród tego z początku jeden, potem kilka głosów, potem las cały ozwał się bezładnym chórem: Święty Boże! Święty mocny!... Już nie żadna manifestacyjna ani polityczna pieśń, ~~[illegible]~~ Lud polski w godzinę śmierci przypomniał sobie śpiew z którym od dzieciństwa przed ołtarzami co niedziela na kolana padał.

Już ciemno było prawie gdy zostaliśmy panami wzgórza i lasku. Nieprzyjaciel ustępujący, jeszcze z własnych swych armat dostał grad kartaczy które nasi za nim sypnęli, a potem nie tylko działa zagwoździli lecz koła u nich porąbali, bo brać ich z sobą ani myśleć nie można było. Sam słyszałem jak oficer rosyjski zwracając się do drugiego zawołał: „Idj „Bohu mołodcy"!

Cała reszta ludzi Koziorowskiego, Piessaferi, Asser etc.—kazali zatrąbić odbój i defilując przed nami broń zprezentowali, idąc drogą do Sawina.—

Jeszcze grzmiały resztki strzałów z lasku na nieprzyjaciela, ale mnie już tam nie było.— Krysiński wysłał mnie z mą bandą w bok Sawina do Lerbasa aby go powiadomić o tem co zaszło i aby ruszał według danej mu poprzednio instrukcji.—

 74

Tu trafiłem na smutną scenę, wprost przeciwną temu co przed chwilą widziałem. Po energicznych dowodach męstwa i porządku jakie dali powstańcy w bitwie o wzgórze nad drogą Sawińską, ujrzałem przykład niesubordynacyi i zuchwałej swawoli.

Gdym odszukał Lerbasa, przeprawiał on swe wozy i jaszczyki z amunicyą przez błotnistą ~~drogę~~ łączkę na której one zagrzęzły. Koło wozów znajdowało się kilkudziesięciu ludzi rozproszonych po bitwie, szumowiny z dwóch oddziałów i części jazdy. Kozacy ścigali nasze furgony, trzeba je było ocalić. Lerbas krzyknął na maruderów aby się wzięli do wypchnięcia wozów i wynieśli na plecach części ciężaru. W nieładzie i popłochu nie słuchano go, gdy więc na powtórzony rozkaz nie stanęli, Lerbas porwał za broń i jednego z nich trupem położył. Przerażeni przy-

kładem wzięli się do roboty i wozy zostały wydobyte a więc ocalone. Zabity należał do oddziału Kozłowskiego. Gromejko były junkier rosyjski, służący w oddziale Kozłowskiego, powstał na Lerbasa za zabicie owego szeregowca. „Tak zrobię każdemu niesłuchającemu gdy moje furgony potrzebują „ratunku!" krzyknął Lerbas potrząsając dubeltówkę. Na te słowa Gromejko odpowiedział strzałem z rewolweru który położył trupem Lerbasa. Oburzony zawołałem: „aresztuję cię rotmistrzu"! taki bowiem stopień nosił on w jeździe Kozłowskiego. „Więc „i ty chcesz także?" krzyknął wściekły a zdaje mi się pijany trochę Gromejko. Moja banda błysnęła szablami. — „W imieniu „dobrej sprawy, rotmistrzu wzywam cię daj „przykład subordynacyi i poszanowania pra„wa!" odezwałem się. Gromejko spojrzał mi

dziwnie w oczy i rzucił na ziemię szablę i rewolwer. „Kozacy tuż, weź rotmistrzu broń, może nam się przydać" — rzekłem do niego łagodnie oddając mu szablę i rewolwer które mi ktoś podał — „Oddasz ją swemu naczelnikowi". —

Znalazłem w kieszeni Lerbasa kartkę z marszrutą i podług niej ruszyć kazałem złożywszy ciało Lerbasa na jednym z furgonów. — Gromejko jechał w milczeniu i na twarzy jego malowało się głębokie cierpienie. —

Doszliśmy do Kuty leżącej pod Rudą i zastali tam Krysińskiego i Kozłowskiego. —

Grundman, wielki Lerbasa przyjaciel rzucił się na Gromejkę dowiedziawszy się o katastrofie lecz zaledwie porwał za rewolwer, Gromejko twarz mu przestrzelił. Zrobił on to machinalnie broniąc się, lecz nie mniej wyrzucałem sobie żem mu broń zwrócił i jemu także wymówiłem że skorom mu ją oddał jedynie

dla wspólnej obrony przeciw nieprzyjacielowi to nie miał prawa jej użyć w sprawie prywatnej. Kozłowski go aresztował, a cała ta sprawa jedynie dzięki wzajemnej sympatyi jaka oddziały nasze łączyła została zaspokojoną łatwo i bez dalszych nadużyć się skończyła. —

Teraz mogliśmy się policzyć. Straty naszego oddziału w poległych i ciężko rannych wynosiły około 150 ludzi. Jest to niesłychanie wielka proporcya, bo wziąwszy na uwagę że oddział nasz był już uszczuplony przez bitwy z dni poprzednich, przez stratę plutonu jazdy w Tarnawce i przez odejście kilkunastu Litwinów z Wróblewskim; stosunek poległych do żywych był jak 1 do 4^ch^. W oddziale Ćwieka czyli Kozłowskiego zginęło koło 100. co dawało prawie ten sam stosunek gdyż oddział ten był mniejszy. —

— Wspomniawszy o odejściu pewnej liczby Litwinów z Wróblewskim, wypada mi objaśnić z kąd to poszło. W batalionie Eytminowicza wielu było oficerów rossyjskich którzy nie mieli kommendy i pełnili służbę szeregowców albo też nie pełnili żadnej. Zaś tymczasem oddziały musiały się obchodzić improwizowanymi oficerami często nie mającymi ku temu żadnej kwalifikacyi. Postanowiono więc spożytkować tych nadkompletowych oficerów. —

Sądzę że nieprzyjaciel nie mniejsze a raczej większe poniósł straty, gdyż nie dość że zwycięztwo po dwakroć na naszą przechyliło się stronę i tylko przybycie nowych posiłków nam je wydarło, ale i i przy ostatecznem wzięciu lasku poniósł on znaczne straty a odwrót z lasku był bardzo krwawy. —

Sądziliśmy przynajmniej że cel został osiągnięty i ścieśniające nas koło przerwane, lecz rekonesanse i prywatne wiadomości przekonały nas że przybycie nowego oddziału z Chełma zamknęło nas na nowo. —

Naczelnicy zwołali radę wojenną. Położenie było trudne. Siły nasze znacznie uszczuplone, nieprzyjacielskie zaś wzrosły. Zdania były podzielone, stanęło jednak na tem że piechota będzie podzielona na kilka mniejszych oddziałów i przy sposobności będzie starała się przekraść w dalsze okolice i połączyć we wskazanych miejscowościach. Jazda zaś wszystka tak nasza jak Kozłowskiego wyjdzie jawnie, zaatakuje obóz nieprzyjacielski aby przez wywołanie alarmu dać piechocie sposobność do wymknięcia się; i robiąc ślad widoczny

pociągnie prawdopodobnie za sobą nieprzyjaciela uwalniając tem samem od pogoni piechotę. — W końcu mieliśmy się połączyć kiedyś z piechotą. —

Zarzucano wiele temu rozporządzeniu. Niewątpliwie miało ono złe skutki, bo drobne oddziały straciły zupełnie spójność i za słabe do stawiania oporu ciągle tylko uciekały. Nie połączyły się nigdy, raz dla tego że trudno im było tego dokonać przy ciągłej pogoni nieprzyjaciela, a powtóre że dowódcy tych drobnych komend zasmakowali w niezależnem dowództwie i nie bardzo mieli ochotę je stracić. —

Czy inaczej postępując nie byłoby jeszcze gorzej? czy oddział cały nie byłby zgnieciony? i czyby nie nastąpiły drugie Fajsławice? O tem wyrokować trudno. —

Nie wspominałem że z mej bandy zgi-

nął tu Szober Czech; Baraniuk ciężko ranny zostawiony w Sawinie, a Pester Węgier ranny lżej, nie opuścił szeregów.
Plan postanowiony został wykonany i to dość pomyślnie. Po lekkim posiłku siedliśmy na koń i pożegnali się z piechotą któ-ra uszykowana pod bronią i rozdzielona na cztery kolumny w różnych kierunkach w las się zagłębiła. Noc była ciemna, mglista, to bardzo ułatwiało nasze za-miary; nie długo ujrzeliśmy ognie biwa-ków nieprzyjacielskich. Rozjechaliśmy się w różne strony na odległość kilkuset kro-ków jeden pluton od drugiego, aby rozerwać uwagę nieprzyjaciela. Na strzał pierwszy mieliśmy uderzyć. Moja banda była na ostatniem prawem skrzydle. Już tak blisko byliśmy od pierwszych ognisk że do-chodził nas szmer rozmawiających żołnierzy

W odległości ktoś grał na harmonijce. Nareszcie ciszę przerwał huk strzału, zabrzmiały nasze trąbki i konie pomknęły z kopyta. W obozie nieprzyjacielskim wszystko wrzało. Pędziliśmy pomiędzy ogniskami i furmankami. Nikt nam drogi nie zastępował. Trąbki i świstawki zwoływały do szeregów uśpionych żołnierzy. Gdzie-nie-gdzie tylko, spóźnieni, pojedynczo spieszyli do swych komend i niektórzy z nich padali pod ciosami naszych. Nie szukaliśmy też bitwy i chodziło nam o to, aby się przedostać po za obóz. Co gdy dopełnionem zostało, rozsypaliśmy się w tyralierkę i poczęli strzelać do obozu. Odpowiadano nam z tamtąd na wiatr. Jazda nieprzyjacielska podjeżdżała ku nam, myśmy się cofali, a po godzinie może takiej strzelaniny, zatrąbiono „odbój" i dobrym kłusem oddaliliśmy się. —

Mieliśmy nadzieję że piechota nasza po-

trafiła skorzystać z chwili i utorowała sobie wyjście, tak się też stało. — Bez wątpienia umyślimy wyjść wszyscy w komplecie bez rozdzielania się, lecz pogoń byłaby poszła za nami i nazajutrz byłoby to samo, to jest bitwa z przeważnym w trójnasób nieprzyjacielem. Teraz zaś cieszyliśmy się że wojsko pójdzie za nami, my zaś jako jazda odsadzimy się daleko i co najwyżej sama jazda nieprzyjacielska nas dogoni. Tak się też stało. —

Stanęliśmy przed wieczorem w Michelsdorfie. Krysiński polecił mi dojechać z moją komendą do Andrzejowa gdzie stało kilkadziesiąt koni jazdy Tarnogrodzkiej, aby im zawieźć rozkaz połączenia się z nami jutro rano. Tu dowiedziałem się że w Wereszczynie stoi jeden nasz pluton, nie wiem w jakim celu podczas marszu oddzielony.

Dojechałem więc tam, przenocowałem i skoro świt jechałem z nimi do Andrzejowa. Wyprzedzając z mą bandą na kilkadziesiąt kroków ten pluton, wjeżdżałem właśnie na dziedziniec Andrzejowski gdy z przeciwnej strony wpadli tam kozacy. Tarnogrodcy byli zupełnie nieprzygotowani, konie porozsiodływane, biegały po dziedzińcu, jeźdźcy uganiali się za nimi, słowem zamęt niesłychany. Kilka moich strzałów z rewolweru, było hasłem dla jadącego za mną plutonu aby przyspieszył kroku. Daliśmy ognia, jeden kozak spadł w krzaki, jeden nasz był ranny, kozacy uciekli, lecz w parę minut byli z powrotem razem z dragonami. Chwila ta jednak dała czas Tarnogrodcom do uszykowania się. Opuściliśmy Andrzejów i odstrzeliwając się, cofali przez las na Zawadówkę i Wolę Wereszczyńską. Do Michels-

dorfu już nie można było się dostać. Ze wzgórza gdzie ruiny starej cerkwi, grzmiały armaty, a liczna jazda spuszczała się ku Urszulinowi. Tak więc, wszystkie siły z pod Rudy, szły zapewne za nami. —
Spodziewając się, że Krysiński cofnie się na Lipniak tam się udałem, lecz tam już byli dragoni. Cofnęliśmy się kłusem do Zienek, a tam na polach pod Komarówką, korzystając z wysunięcia się części ścigających nas, zwróciliśmy w miejscu i uderzyli na najbliższy hufiec. Ułani ruscy wytrzymali atak a gdy nadbiegł drugi oddział dragonów zostaliśmy rozbici. Powtórnie jeszcze na tych polach starliśmy się z nieprzyjacielem lecz nie z lepszym skutkiem. Las dopiero ucieczkę naszą zasłonił. —
W tem spotkaniu padł z koniem i zginął, czy wzięty został z mej bandy, Białecki, a

drugi także z nich: Kubiak otrzymał pchnięcie lancą w bok i w Parczewie zostawiliśmy go. Turaliński i Paszkowski dostali cięcia w twarz i głowę lecz zostali w szeregach. Ja zaś oberwałem guza drzewcem od lancy, nad okiem, i przez tydzień na prawe oko nie widziałem. Tak więc moja banda już tylko dziewięciu liczyła wraz ze mną. — (x)

W Białce połączyliśmy się z Krysińskim i Kozłowskim i przeszedłszy Parczew stanęliśmy na noc w Siemieniu. Straty nasze w tym dniu wynosiły kilkunastu zabitych i rannych. —

Następnie pomaszerowaliśmy do Lubartowa; dalej po małej utarczce przeszli szosę pomiędzy Garbowem i Jastkowem i skierowali się ku południowi. —

Czy kierunek ten był powzięty z myślą przejścia do Galicyi, nie wiem; mówiono

(x) Wyrzucam sobie dotąd to starcie; lepiej było zaniechać aż do lasu. Na mój głos stanęła znaczna i lepsza część, rzuciła się na niesłychanie przeważną siłę i straciłem dwóch starych żołnierzy, niepotrzebnie. Było to nie z mej winy zapewne, ale z mego niedoświadczenia. —

że mamy ułatwić wkroczenie jakiemuś nowemu oddziałowi. —

W kilka dni, powolnemi marszami znaleźliśmy się bez przeszkody nad granicą niedaleko Izeny i Borowa. —

W mojem przekonaniu należało połączyć się jak najspieszniej z porozdrabnianemi oddziałami i na nowo rozpocząć działania. Trudności wprawdzie były wielkie a najgłówniejsza z nich brak zupełny oddziałów w Lubelskiem w tej porze; można więc było łatwo zginąć w takiem osamotnieniu. Zdaniem mojem jednak należało probować a przy zręczności i szczęściu nawet za Wisłę przeprawić i oprzeć o jakąś pomocniczą siłę. Niepodobna przewidzieć czy lepiej było pójść za mojem zdaniem jednak faktem jest że po owem rozdrobnieniu naszego oddziału już się on więcej nie

połaczył i drobne jego cząstki zmarnowały się w małych bez żadnego celu staczanych potyczkach. —

Powracam jednak do dalszego ciągu mego opowiadania. — W nocy, mniej więcej około połowy Grudnia stanęliśmy we wsi Lipie nad granicą. Tam któryś z mieszkańców zadenuncyował naczelnikowi pewnego starego włościanina jako mającego stosunki z nieprzyjacielem, wydającego transporta broni, donoszącego o ruchach naszych oddziałów i t. p. Oskarżenie było oparte na dosyć poważnych faktach i stwierdzone przez wielu innych gospodarzy i parę osób z wyższej klassy. Krysiński wcale nie skory do natychmiastowych kar, polecił go aresztować i wziąć z sobą. Sama ostrożność nakazywała usunąć go chwilowo z nad granicy gdzie mógł być szko-

dłużym, na tem byłaby się cała kara skończyła. Lecz okoliczności inaczej zrządziły. Oskarżony, zapewne czując się do winy był niezmiernie przestraszony. Syn pozostały w domu miał go za straconego jeżeli spiesznie nie poda mu ratunku, uwiadomił więc najbliższą nieprzyjacielską komendę i wraz z nią pospieszył w nasze ślady. Po całodziennym wolnym marszu wzdłuż granicy i prawie ciągle widząc placówki Austryackie stanęliśmy na noc w Hucie Krzeszowskiej. Właścicielem czy dzierżawcą był Żyd, u niego rozłożyliśmy się na nocleg. Sztab stanął we dworze, my przy koniach na okólniku. Było 14 stopni mrozu, wiatr, ziemia zmarznięta bez śniegu i ślizgawica. Drzemałem jakiś czas przy koniu lecz mróz i głód strasznie

mi dokuczać zaczęły. Przez parę poprzednich nocy odbywałem rekonesanse, podjazdy i czułem się niezmiernie zmęczonym. Wstałem więc i zacząłem się przechadzać a nareszcie zaszedłem do Naczelnika zobaczyć czy jemu nie lepiej się powodzi. Wszyscy spali pokotem na słomie w ciepłym pokoju. Znalazłem trochę wódki i chleba, łyknąłem i zaniosłem swoim, a potem jeszcze wróciłem do dworu aby się cokolwiek ogrzać. Usiadłem przy piecu i straciłem w części świadomość co się ze mną dzieje. Słyszałem jak ktoś wszedł i zawołał: „Panowie „mamy na karku moskali"! Lecz się nie ruszyłem nawet. Po chwili wpadł Franciszek i krzyknął mi w ucho „Panie na „koń!" Słyszałem lecz nie wstałem. Porwał mnie więc i wstrząsnął silnie i pra-

prawie wyniósł na dwór. Zimne powietrze mnie ocuciło, wskoczyłem na koń i za chwilę byłem przy Krysińskim. Stał on na wysokiej grobli okrytej gołoledzią i spadzistej na oba boki, za nim o kilkanaście kroków moja banda bezemnie; a na mem miejscu przed szeregiem stary Turaliński. Niezmiernie przykro mi się zrobiło, pierwszy raz nie dotrwałem na mem stanowisku i spóźniłem się. Wachmistrz widząc mnie ustąpił mi miejsce i cofnął się do szeregu. „Zostań „tu, dziś ty wachmistrzu dowodzisz!“ rzekłem i posunąłem się aby zająć miejsce w szeregu. Ale stary żołnierz chciał się z dworskością znaleść i niby nierozumiejąc zawołał: „Cóż to? nie „słyszycie że pan porucznik przed frontem mówi: jak się macie chłopcy!“ —

„Życzymy zdrowia panu porucznikowi!" zabrzmiał okrzyk zewsząd. Ja pomimo to powtórzyłem rozkaz i stanąłem jako szeregowiec bo nie czułem się godnym prowadzić tych ludzi z których żaden ani razu służbie nie uchybił, gdy ja sam jej tylko co uchybiłem. — Turczyński tej nocy nas prowadził. —

Przed nami słychać było strzały. W kilku słowach dowiedziałem się że dragoni napadli naszą placówkę w karczmie, zabili pikietę i karczmarza żyda który przypadkiem znajdował się na dworze i chcieli karczmę z naszymi podpalić. Posłano im pomoc, a my czekaliśmy w pogotowiu. Jakiś chłopek dał nam znać że i piechota podąża za dragonami, nie było więc ani chwili do stracenia i uwolniwszy oblężonych w karczmie należało ustąpić jak najspieszniej.

Pluton wysłany w pomoc zdołał ich uwolnić, dał im czas siąść na koń; potem uderzyli wspólnie na garstkę dragonów, odparli ją lecz wkrótce przez większą siłę obskoczeni pierzchli w naszą stronę ścigani z bliska. Naczelnicy chcieli odeprzeć atak aby zyskać na czasie a potem cofnąć się; lecz wołania ich aby wstrzymać uciekających na nas, nie zrobiły skutku; nie łatwe bo to zadanie wstrzymać jazdę w popłochu. Pomimo więc usiłowań dwa pierzchające plutony rozbiły nas zupełnie i tylko ciemności nocy zawdzięczamy że dragoni nie widzieli naszego zamięszania i nie skorzystali z niego, ale zatrzymali się na parę set kroków przed nami. Położenie nasze pogorszała jeszcze niesłychana ślizgawica, konie padały i zsuwały się w rowy. Moja banda najszczęśliwsza

jeszcze była pod tym względem, bo tego samego dnia miała świeżo ostrzone podkowy. Temu więc zawdzięczam może że nie padłem gdy koń mój uderzony silnie przez drugiego, rów przesadził i to rów tak szeroki że z trudnością na powrót do swoich się dostałem. Tak rozbici musieliśmy odbiedz kilkaset kroków zanim uformowaliśmy się, a dragoni tymczasem znów z okrzykiem rzucili się ku nam. „Kto chce niech „ucieka do dyabła, a znajomi do mnie!“ krzyknął Kozłowski i ruszyła kłusem kolumna z obu Naczelnikami i moją bandą na czele. Okrzyk „marsz! marsz!!“ Franciszek uderzył w trąbkę i puściliśmy się galopem. Lubo już zaprobowałem bitwy na białą broń pod Rososzem, lecz tam wpadliśmy na ułanów już pierzchających. Pod Ziemkami zaś starcie na naszą wyszło nie korzyść. Teraz więc pierwszy raz byłem w

prawdziwej szarży kawaleryi to jest ta-
kiej gdzie żadna ze stron nie ustępuje
i całą siłą oba hufce uderzają na sie-
bie. Ziemia pod nami śliska i twarda
jak szkło aż iskry wydawała. Przeko-
nałem się że prawdę powiedział Gene-
rał Jomini, że koń nie jeździec dobrą
jazdę czyni. Klacz moja, na której sie-
działem tej nocy, była dzielna i bardzo
silna w nogach, śmiało więc pędziła.
Starcie zrobiło na mnie wrażenie jakiego
się doznaje uderzywszy czółnem o ląd. Do-
sia moja uderzyła silnie o jakiegoś prze-
ciwnika, zadrżała podemną, jednak do-
stała na nogach i przeskoczyła pada-
jącego konia, którego wszystkie cztery pod-
kowy do góry zwrócone ujrzałem. Jeździec
zaś aż w rów się potoczył i usłyszałem
słowa jakby z westchnieniem wymówione:

„Praszczaj dusza maja!" Nastąpił ścisk jak na odpuście. Krótkie krzyki: „Rubitie maładcy!" i „Bij, siecz!" mięszały się. Wpakowałem Dosi ostrogi i rąbałem na prawo i lewo, szabla moja spotykała szable dragońskie a nie ręczę czy i ich ciała, ciemno było zupełnie. Słyszałem: „Milion-set-fur-beczek-batalionów-okrętów-dyabłów!" ~~[illegible]~~ Juralińskiego i: „Z tąd wedle ciebie tysiąc głów poleże, z tąd drugi tysiąc"... Markiewicza - lecz nie prawie w ciemnościach nie widziałem. Trwało to bardzo krótko, krócej może niż opisuję i znaleźliśmy się w kilkunastu po za nieprzyjacielem, czyli żeśmy go na wylot-przejechali. Krysiński który był został za nami powtórzył szarżę, a my zwróciwszy się z drugiej strony w przeciwnym kierunku uderzyliśmy i torowali sobie drogę wśród nie-

nieprzyjaciela, wreszcie połączyliśmy się.
Dragoni byli chwilowo odparci i gorzej
na tem starciu wyszli głównie z tego
powodu że konie ich widać gorzej kute
padały. My bowiem otrzymaliśmy nie-
dawno z Galicyi szrubowane hacele do
podków i zapas tych haceli, można
więc było ostrzyć je nie rozkuwając
koni. –
Zatrąbiono odbój i ruszyliśmy kłu-
sem ku lasowi obawiając się nadejścia
piechoty. Już po za wsią zsiadłem z
konia aby dociągnąć popręgi które mi
się cokolwiek luźne wydawały, gdy z
za chałupy wyskoczyło kilku kozaków.
Jeden był tak blisko że nie dał by
mi wsiąść na koń, gdy Bogusławski
przyskoczył i położył go strzałem
z rewolweru. –

Dojechawszy do lasu porachowaliśmy się, brakowało nas nie wiele, o ile pamiętam ośmiu a pomiędzy nimi Weber bardzo przyzwoity chłopiec student lwowskiego uniwersytetu, lecz ten znalazł się później, gdyż konia straciwszy zdołał ~~się~~ korzystając z ciemności ocalić się. Z mej bandy poległ tu Michalski, ułan austryacki, a Kański pruski żołnierz dostał szablą po uchu. Pokresowanych było sporo, około piętnastu, lecz ci poobwiązywawszy się pozostali na koniach. Było w tem starciu kilka szczególnych zdarzeń. Grodski, litwin, były junkier rossyjski, znany z tego że nosił mundur oficera żandarmeryi, który nie wiem zkąd dostał, w starciu na grobli padł ugodzony w twarz jakimś tępem narzędziem, zdaje się kolbą dragońskiego karabinka. Gdy się chciał schronić schry-

tany został przez Kozaków i zaprowadzony do oficera. Tu Grodzki oświadczył że jest oficerem żandarmeryi, wziętym przez powstańców na Litwie i dotąd nie mającym sposobności wrócić do swoich. — Oficer uwierzył w powowie i kazał jednemu z kozaków odprowadzić go jeszcze dalej widocznie do starszego stopniem. Kozak konwojujący Grodzkiego, zatrzymał się nagle, w istocie słychać było zbliżanie się kilku lub kilkunastu koni. „Tu „niema naszej jazdy, tylko piechota", powiedział kozak — „co to może być?" — „Był tu drugi oddział powstańców, może „że to oni" — dodał Grodzki, „uciekajmy!" — Zaczęli więc uciekać, kozak konno więc prędzej a Grodzki wolniej bo piechotą, gdy odległość między nimi się powiększyła jeniec schował się w jakieś zarośla i

wrócił do nas. Ów zaś oddział powstańców była to oładunina która się wykradła gdy Kozacy pladrowali po dworskich budynkach podczas bitwy na grobli. — Przytaczam tę anegdotę jedynie dla tego że Grodzki był chłopiec przyzwoity, skromny i przez litwinów ceniony, mam więc powód wierzyć w jego prawdomówności. —

W naszem ręku zostało kilka nieprzyjacielskich koni. Pester z inej bandy przyprowadził jednego bardzo dzielnego, należącego do podoficera dragonów jak to wskazywał galon na czapraku. —

Najważniejszem jednak znaczeniem tego zdarzenia było ~~to~~ iż był to pierwszy napad nieprzyjacielski dokonany w nocy. Dotąd nieprzyjaciel nie korzystał nigdy z ciemności aby na nas uderzyć. Ogólnie sądzono że noc sprzyja raczej partyzantom

jak regularnemu wojsku, mnie jednak zdaje się że prawdy niema w tem ostatecznie. Jeżeli partyzant zna lepiej miejscowość to w nocnej bitwie ma szans więcej; ale w ogóle żołnierz regularny łatwiej da się w czasie zamięszania zszeregować niż partyzant. W ogóle korzyść jest zawsze po stronie atakującego, wyjąwszy jeżeli napadnięci zostali uprzedzeni i przygotowali zasadzkę. —

Postanowiono że naczelnicy z kilkunastoma ludźmi wejdą do Galicyi i za dni kilka wrócą na czele jakichś niby to gotowych już oddziałów. Jazda nasza tymczasem uwijać się będzie nad granicą i czekać na ich powrót, a tymczasem przeprowadzać broń jaką nasze galicyjskie władze wysyłać mają. —

Później przekonałem się że owo tak

często przez innych dowódców praktykowane przechodzenie granicy w celu zebrania oddziału lub wzmożenia go było tylko łudzeniem samego siebie. Znużonego trudami i niebezpieczeństwami człowieka kusiła nadzieja spoczynku za granicą, a z drugiej strony obowiązek nakazywał zostać przy tych którzy mu zaufali. — Wymyślał więc sobie konieczny interes w sprawie narodowej i szedł do Galicyi. — Nie zawsze wracał z tej Kapui, a jeżeli wracał to pewno ze zmniejszonym oddziałem. —

Nad rankiem tej samej nocy napadliśmy w Momotach oddział dragonów i kozaków o których przypadkiem dowiedzieliśmy się. — Źle oni się pilnowali, spali po chałupach i stodołach i chłopów na pikietach popostawiali. Właśnie jeden z takich chłopów nas uwiadomił. —

Byli to ci sami, a raczej część tych samych którzy nas w Hucie Krzeszowskiej kilka godzin temu napadli. Był to więc odwet, czyli według systemu Krysińskiego: „niespodzianka". Miał on bowiem zwyczaj mawiać że partyzantka to sama uprzejmość, to wymyślanie coraz nowych surprys nieprzyjacielowi. —

Gdyśmy wpadali do wsi jakiś żołnierz nas zobaczył i dał wystrzał. Naprzód ubrani dragoni i kozacy skakali na konie i uciekali bo zebrać się nie mieli już czasu. Niektórzy nawet broni nie mieli czasu zabrać bośmy ją potem zabrali. Padło ich kilku, a z naszej strony nikt, nawet zdaje mi się że nikt nie był ranny. Koń mój tylko, biedny Bęben, z na którego przesiadłem się, aby Dosi dać rekreacyę, dostał w samo

 89

czoło, o dwa kroki odległości, kulę z rewolweru od oficera Kozackiego. Kiedym padał z koniem, Turaliński rozpłatał na dwoje głowę zabójcy Bębna, krzycząc swym kubańskim głosem: „A nieszczęście!
„ta psia wiara takiego konia zabiła! jego
„ogon był więcej wart jak cała twoja fa-
„milia". —

Więcej on z pewnością żałował koni niż ludzi i chociaż dawał mi dowody przywiązania, jednak mówiłem mu za chwilę siedząc już na Dosi: „Przyznaj, wolałbyś
„żeby mnie ta kula trafiła a nie Bębna" —
— „To co innego, a to co innego - rzekł - ale
„niech pan porucznik sam powie, że tylko
„Dosia i mój Indyk warte Bębna, nieboszczyk
„Wojciech był czwarty, ale co dobre
„to się nie uchowa"…. Ten Wojciech był to koń, którego stracił pod Kolanem. —

— „To widać dla tego my jeszcze się uchowaliśmy" — dodałem. —

— „To znów co innego, ale nie daj Boże „w złą godzinę wymówić!"... i tu nastąpowała dyssertacya o złych i dobrych godzinach, o wróżbach, mentalu i t. p. po raz setny może. —

O świcie, obaj naczelnicy, kilku oficerów i ja z moją bandą pożegnawszy, oddział, wyszliśmy do Galicyi. —

Naczelnicy pojechali nie wiem gdzie, mnie zaś Kozłowski dał list rekomendacyjny do p. p. Horoch w Piskorowicach nad Sanem.

Bandę moją rozkwaterowałem w dobrach i lasach Charzewickich, a sam poszedłem spać u jakiegoś ekonoma. Spałem godzin 26. Potem z doktorem Krasickim którego los mi za towarzysza wyznaczył, ruszyliśmy w drogę. —

Droga do Pishorowic zajęła nam dni 4ry lubo niema więcej nad mil 10–12. Lecz przez San trzeba się było przeprawiać dwa razy i za każdym razem wyszukiwać sposobu aby wyminąć straże które na przewozach stały. Pierwszego dnia mej wyprawy nie pamiętam, drugiego zaś przeprawiwszy się przez San za pomocą jakiegoś poczciwego oficera Polaka stanęliśmy na noc w miasteczku Rudniku u proboszcza. Tu dziwnem mi się wydało że tłumy powstańców w bardzo porządnych mundurach przechadzały się za pan brat z żołnierzami austryackimi i nikt ich nie zatrzymywał. Należeli oni do oddziału jakiegoś Dąbrowskiego który czekał stosownej chwili aby wejść do Królestwa. Na chwilę tę czekał on podobno niezdychanie dawno, a gdy wszedł, w parę godzin spostrzegł się

że i ta chwila nie jest właściwą, wrócił więc natychmiast do Galicyi i czekał dalej. Ale o tem pomówię na właściwem miejscu. —

Trzeci nasz nocleg wypadł w Leżajsku w klasztorze O.O. Karmelitów. Położenie klasztoru było niezmiernie ważne dla sprawy powstania. Gmach otoczony murami jak forteca, mający obszerne lochy, mnóstwo kryjówek, położony za miastem a blizko granicy mógł i rzeczywiście oddawał wielkie powstańczym oddziałom usługi. — Duszą wszystkiego był ks. Jan, mający pełno stosunków, grający ważną rolę w organizacyi narodowej i przez Gwardyana wyróżniany. Był to człowiek uprzejmy i miły w obejściu, sympatyczny i jak mi się zdawało bardzo świat i ludzi znający. — Mieszkanie Ks. Jana

składało się z dwóch pokoików, skromnie lecz z pewnym gustem umeblowanych. Tam w towarzystwie Gwardyana i paru księży przepędziliśmy wieczór przy bardzo dobrym i nie młodym węgrzynie. Zauważyłem że nasz gospodarz często wstaje, wyprawia jakieś polecenia, że często również pomimo późnej pory odbiera wiadomości z któremi pomimo obecnego Gwardyana do niego się wprost odnoszą. Nie był to ks: Marek, ale raczej na małą skalę, Biskup Krasiński. —

Rozmowa głównie toczyła się o powstaniu, nie kryłem wad tego ruchu które były liczne, nie kryłem również niepowodzeń. Dziwiło mnie że za każdą niepomyślną wiadomością jaką udzieliłem księżom, dostawałem pod stołem szturchańca. Skorzystałem więc z chwili i wyszedłem do drugiego pokoju. Tu ks. Jan powiedział mi: „Wiedz że

„jedyna nadzieja powodzenia może utrzy-
„mać większą część tych ludzi, a mianowicie przełożonego na drodze którą idąc są
„użytecznymi sprawie. Gdyby wiedzieli że
„upadniecie, lękaliby się najmniejszej udzielić wam pomocy. Nie żądam abyś zmyślał,
„rozwódź się jednak więcej nad objawami
„pomyślnemi a przemilczaj jak możesz
„niepowodzenia". —

Zastosowałem tę radę w dalszym ciągu, przyznając jej w części słuszność, lecz zarazem żałując że często zadaleko ją posuwają ludzie działający w owej epoce. —

Nazajutrz po Mszy S^tej przebyliśmy powtórnie San i stanęli w Piskorowicach.

Znalazłem tu kilku znajomych z moich okolic, których losy wojny do Galicyi zaprowadziły. Rodzina Horochów mieszka i na Podlasiu, Podlasiacy więc jako do nie-

zupełnie obcego domu jechali. Gośćmi tam byli Zakrzewski brat naczelnika konnego oddziału, Laski, Kasperski i Jasieński wszyscy trzej powstańcy, pomimo że ostatni od dzieciństwa miał złamaną nogę i chodził na kulach, a do siodła musiał się przywiązywać i przytraczać swoje szczudła. Wszyscy byli to mieszkańcy tych samych co ja okolic. Oprócz nich Antoszewski z oddziału Kozłowskiego który razem ze mną przeszedł granicę lecz inną do Piskorowic zdążył drogą. Ojciec jego miał majątek w Gostyńskiem, sam on jednak dawniej kraj opuścił i zaciągnął się pod komendę Sadyka-Paszy (Czajkowskiego) do kozaków sułtańskich. Powstanie dopiero powołało go do kraju. Był to niezmiernie wesołego i przyjemnego humoru człowiek i jak najlepszy kolega. Był tu czasowo i jeden

Galicyanin Wilczyński który sympatycznem obejściem od razu do nas przypadł. Doktór Krasicki może ujemniej do nas był dopasowany, lecz teuże wyprawiony został przez panią Horoch do jakiegoś domu w sąsiedztwo z listem polecającym. —

Przyjęci byliśmy w tym zacnym domu bardzo gościnnie. Pana nie było, gdyż bawił najczęściej w innym majątku, tylko Pani z 3ma córkami z których dwie panny i jedna mężatka - separatka.

Przyjemnie przepędziłem kilka dni w Piskorowicach, lecz było za liczne towarzystwo, to mogło zwrócić uwagę władzy. Pani więc zaproponowała mi żebym pojechał z nią do cyrkułu do Sieniawy i tam się zameldował jako wychodzień z Królestwa uciekający przed wojną. Tak się zrobiło

Przy pomocy Pań które same mnie do Sieniawy zawiozły otrzymałem pozwolenie na przebywanie w Galicyi byle nie w żadnym z pogranicznych cyrkułów. Za poradą Pań wybrałem Łańcut jako punkt najbliższy Piskorowic; zabawiłem jednak jeszcze dni kilka w tym gościnnym domu i dotąd miłą pamięć o nim zachowałem. —

Nareszcie trzeba było jechać na moje legalne mieszkanie bo władze mogły zapytać tam o mnie. Wyjechałem więc razem z Kasperskim który także się usuwał do jakiegoś innego punktu i razem przybyliśmy do Tryńczy. Młody Kellerman syn właściciela był to także powstaniec i zastaliśmy go w towarzystwie kolegów z oddziału, bo w tej chwili więcej było powstańców w Galicyi niż w Królestwie. Nazajutrz stanąłem w Łańcucie i pierwsza sympatyczna osoba, którą na dworcu kolei

spytałem o p. Olszewskiego, dyrektora cukrowni, był to on sam. Ulokował mnie u siebie i ułatwił formalności urzędowe co do meldunku. Nie więcej jednak jak tydzień bawiłem w Łańcucie gdyż odebrałem od Krysińskiego wiadomość że wszystko jest gotowe by na nowo zacząć trudy partyzantki.) — Wzywał mnie abym się stawił w Kochanach, miejscowości nadgranicznej blizko punktu gdzie weszliśmy do Galicyi i dodawał że nie potrzebuję się o nic turbować gdyż konia i rynsztunek znajdę na punkcie zbornym.

Ruszyłem z powrotem tą samą drogą. W Trynczy znalazłem liczne towarzystwo powstańcze; była tam gra w karty z początku wist a potem sztos. Nie jestem karciarzem i nie miałem wiele pieniędzy, więc jedynie dla niepsucia kompanii miałem

stawkami grę podtrzymywałem; lecz bohaterem dnia był Hauptkiewicz syn nieboszczyka proboszcza z Międzyrzecza który służył w jeździe Krysińskiego, ten wygrał koło 150 rubli i po grze zawołał: „Skoro to są pieniądze
„ wygrane od powstańców niech więc idą na
„ korzyść powstania, kupię sobie za nie ko-
„ nia bo mój już zupełnie jest zniszczony". —
Wnet mu nastręczono wierzchowca od jakiegoś oficera huzarów w sąsiedztwie i nazajutrz targ był skończony, później jednak nie dobrze mu się ten koń przysłużył, jak się to w mem opowiadaniu pokaże: —

Różnemi drogami pojechaliśmy do Kochan, ja na Piskorowice; czułem się jednak cierpiący jak to zwykle bywa gdy po wielkich trudach zacznie się używać spoczynku. —

Namawiano mnie żebym został, pojechałem jednak. W Leżajsku było jeszcze gorzej.

Ks. Jan dał mi prawdziwie żołnierskie lekarstwo to jest kazał wypić szklankę starego wina i iść spać. Po różnych manowcach stanąłem w Charzewicach u rządcy tych dóbr p. Gruszczyńskiego już późno w nocy. Ten radził mi zatrzymać się gdyż Krysiński jutro tu będzie poszedłem więc spać a na drugi dzień już zupełnie czułem się zdrowym. Gospodarstwo mnie zajęli się mną troskliwie i zaczęło mi się robić lepiej gdy przybył Krysiński z kilkoma towarzyszami a między innymi z Hanytkiewiczem. —

Widok znajomych z którymi dzieliło się niebezpieczeństwa podziałał lepiej jak łacińska kuchnia pani Gruszczyńskiej. —

„ Jak przejdziesz granicę, będziesz zdrów jak ryba". Zadecydował Krysiński i pojechaliśmy do Kochan. —

Punktem zbornym było mieszkanie nadleśnego wśród obszernych lasów położone. — Nie opodal stały budynki gospodarskie. — Tu znalazłem pozostałych wszystkich siedmiu z mojej bandy, zastałem Dosię i wszystkie te same konie, tę samą szablę, rewolwer, kulbakę, mantelzak, mundur zimowy tylko inny, bo przez ten czas chcąc aby moja banda się odznaczała kazałem ich kożuszki pokryć szaraczkowem ciemnem suknem z czarnem szamerowaniem i obkładaniem czarnemi barankami, oraz sprawić czarne baranie czapki. Tem wyekwipowaniem zajął się Turaliński. — Do tej pory pamiętam uczucie jakiego doświadczyłem witając się z tymi towarzyszami trudów; i oni lubo nie dawali się jednak oczyma mrugali, a Dosia z cicha rżała. — Krysiński miał rację byłem zdrów zupełnie. —

Już był wieczór i głód czuć się dawał, Krysińskiego nie było, pojechał jeszcze gdzieś w sąsiedztwo. Całą nadzieję naszą byli państwo nadleśni. Nareszcie etykieta zwalczoną została, zaproponowaliśmy panu nadleśniemu aby nam dał chleba i wódki za wynagrodzeniem jeżeli go żądać będzie. Oświadczył jednak że nic nie ma w domu.

Nie pozostawało nam jak wyperswadować sobie i czekać.—

Wśród najsmutniejszych dumań zdrzemnąłem się, gdy nagle poczułem przyjemną woń pieczeni. Bałem się z początku otworzyć oczy aby nie doznać rozczarowania. Lecz szmer radosny i wesołe okrzyki przemogły moją obawę i z jakąż przyjemnością ujrzałem na półmisku gęś z jabłkami. Turaliński jak zawsze najprzemyślniejszy wyśledził że w ustronnej stancyjce aż

na poddaszu coś się gotuje; jakim sposobem tam się dostał nie wiem, dość że gęś nam przyniósł. Zaprosiliśmy gospodarza i podzielili z nim sumiennie, za gęsią znalazł się gąsiorek nalewki, chleb, kilka butelek piwa. — Humor się poprawił i oczekiwanie było przyjemniejsze. Nie zadługo goniec od Krysińskiego przyniósł nam rozkaz udania się w głąb lasu. Tu zastaliśmy kilkunastu z naszych i z oddziału Kozłowskiego, jego samego nie było lecz natomiast był Ćwik (Cieszkowski Kajetan) z żoną, kobietą bardzo czynną w sprawie powstania. Oddział Dąbrowskiego, ten sam który widziałem w Rudniku, stanowił główną siłę, około 200 ludzi piechoty. Natomiast dowiedzieliśmy się że jazda nasza którą opuściliśmy wchodząc do Galicyi, nie mogła się utrzymać nad granicą i w części rozproszona została, w części

zaś w głąb kraju pomaszerowała. Tej samej nocy przeszliśmy granicę i nad ranem byli już ze dwie mile w głąb Królestwa polskiego. Tu rozpoczęły się rozprawy w oddziale Dąbrowskiego, nad tem że ładunków jest mało i że one do karabinów nie pasują równie jak bagnety; a ponieważ mieliśmy wiadomości że Kozacy są w pobliżu, więc Dąbrowski oświadczył że nie może ryzykować się na spotkanie i dalej nie pójdzie. O ile było to prawdą nie wiem, pojąć jednak było trudno dla czego ten Dąbrowski dopiero teraz spostrzegł niedokładność swego uzbrojenia; bądź co bądź oświadczył że wraca do Galicyi. Krysiński i Cwink powiedzieli że do Galicyi nie wrócą i odezwali do nas z zapytaniem kto chce im towarzyszyć. Wystąpiło nas dwudziestu kilku t: j: ci którzy do-

tąd pod nimi służyli. Pożegnaliśmy p. Dąbrowskiego i ruszyli kłusem. Należało zrobić marsz bardzo forsowny, aby dostać się w Podlaskie gdzie mieliśmy nadzieję spotkać resztki naszych oddziałów. — Rzeczywiście zrobiliśmy pochód nadzwyczajny, bo przed świtem ruszywszy z nad granicy stanęliśmy na wieczór w Brussie we Włodawskiem. Było przez czas marszu kilka spotkań z Kozakami; stosownie do ich sił albośmy ich odpierali, albośmy uchodzili. W tych starciach, 2. dwóch straciliśmy, a między nimi był Kaiński z mej bandy, żołnierz pruski padł koło Żółkiewki. Tak więc owa banda już tylko siedmiu wraz ze mną liczyła. Dwóch, a między nimi jakiś doktór galicyjski nie mogło znieść tak forsownej jazdy i zostali w drodze; jeden zaś Węgier od Ćwieka padł z koniem i nogę złamał. — Natomiast kilku z dawnych

połączyło się z nami w drodze. Ten tak szybki pochód odbyliśmy w ten sposób że co kilka werst zrobionych tęgim kłusem, zsiadaliśmy i przeprowadzali konie w ręku. Jeżeli prawdą jest co powiedział Napoleon I że zwycięstwo jest w nogach żołnierzy, to zaiste powinniśmy byli świat cały podbić.—

Później dowiedzieliśmy się że Dąbrowski właśnie wpadł na przeważające siły nieprzyjacielskie i został rozproszony.—

W Brussie zostaliśmy serdecznie przyjęci gdyż Emich był bratem Pani, a była to Wigilia Bożego Narodzenia. Nie było nam jednak dozwolono podzielić się opłatkiem w tym zacnym domu, gdyż wnet po naszem przybyciu przyjechała córka naszych gospodarstwa z mężem i dziećmi i dowiedzieliśmy się że Borodin stoi w Lipówce

t: j: o milę, że ich zatrzymywał i że prawdopodobnie przyjdzie do Brussa. Ruszyliśmy więc do Wołoskowoli gdzie stała jazda litewska pod Wróblewskim i razem z nimi jeszcze tego wieczoru czyli raczej nocy do Łęgna gdzie zastaliśmy piechotę litewską i część naszej pod dowództwem Sienkiewicza. — - - -

Tu dowiedział się Krysiński że za opuszczenie oddziału ma sobie odjęte nad nim dowództwo i że kazano mu udać się do Galicyi gdzie obejmie dowództwo nad nowo formującym się. —

Zakomunikował nam to, a my postanowiliśmy go nie opuszczać. — Zostaliśmy więc tułaczami. — Cwich został z nami. —

Nie przeczę że Krysiński mógł zgrzeszyć ulegając pokusie wypoczynku w Galicyi, lecz z pewnością każdy inny miał więcej tego rodzaju grzechów na sumieniu. Więc prywata i niska ambicya wyzyskały ten fakt

aby z podwładnych stać się niezawistymi naczelnikami. Bądź co bądź, Krysiński miał zaufanie u prostych ludzi; widząc go, zawsze w najsilniejszym ogniu i w pierwszym szeregu, z czerwoną wstęgą na piersiach, konno pomiędzy piechotą, tuż obok sztandaru a zatem ściągającego na siebie wszystkie strzały, a pomimo to nigdy nie draśniętego nawet, mieli go oni za jakąś legendową postać. — Zmarnowanie więc jedynego naczelnika popularnego na Podlasiu było wielkim błędem i dowodziło że powstanie kończy się rzeczywiście. —

Zadanie dostania się do Galicyi nie było łatwem. Oddziałów naszych coraz mniej, wojska coraz więcej. — Taka gromadka jak nasza, dwudziestu ludzi licząca, zaledwie wystarczała na strzeżenie samej siebie, byliśmy więc ciągle pod bro-

nią. Konie już się zupełnie nie rozsiodływały, a nawet rzadko można było zwolnić im popręgi. Kolej wart, pikiet, dyżurów powtarzała się ciągle z utrudzającą szybkością. Szczęściem był to wybór ludzi, więc służba szła porządnie, a pomimo to jednak kto wie czy nie bylibyśmy padli ofiarą, gdyby nie pani Cieszkowska której niezmordowanej czujności i działalności zawdzięczamy wiele. Co chwila wpadała one do nas pod różnemi przebraniami, co chwila znów nas opuszczała aby przebiedz okolicę; a ile razy była zatrzymana, ile razy się wymknęła to nawet zliczyć niepodobna, ocalenie zaś swoje a zatem i nasze zawdzięczała jedynie swej przytomności i odwadze. —

Pomimo zboczeń Pani C., muszę Jej oddać tę sprawiedliwość, przekonany bowiem jestem że Jej zawdzięczam, i to niéraz, życie lub wol-

wolność na równi z innymi towarzyszami broni. — Wszyscy czuli czem była dla nas ta opieka, dla tego też pani C. miała wielką miłość naszego oddziałku, miłość połączoną z szacunkiem bo wtenczas nie jeszcze, u nas przyzwyjmnicj, żej nie zaręczano. Sumiennie mogę powiedzieć że każdy z nas byłby się sto razy dał porąbać dla ocalenia jednego włosa z jej głowy. —

Pewnego razu (nie daleko Starościna) jechałem sam jeden w przedniej straży, wyjeżdżając z lasu ujrzałem pędzący ku mnie wózek jednokonny a w nim kobietę dającą znaki rękoma. Oddział jeszcze nie był wysunął się z lasu, nie wiedząc co znaczą te znaki zatrzymałem się i na wabiku zakrakałem jak wrona co było znakiem umówionym aby oddział stanął. Wtem poznałem w uciekającej kobiecie panią C: i jednocześnie ujrzałem pędzących za nią

kilkunastu kozaków. Krzyknąłem więc: „Za-
„mną, marsz! marsz!! ratujcie matkę!" —
(tak ją bowiem nazywano) i dawszy ostrogi, puści-
łem się ku wózkowi, a za mną suche gałę-
zie trzeszczały pod nogami koni pędzących
galopem. Nie było chwili do stracenia. Wó-
zek pędzący w poprzek zagonów złamał się i
gdym stanął koło niego, kozacy nie więcej
jak o 50-ciu kroków byli oddaleni i ciągle
strzelali. Pani C: jednym skokiem znalazła
się na przodzie mej kulbaki gdzie burka zwi-
nięta i przytroczona stanowiła niezłe sie-
dzenie, uchwyciła się mnie i wziąwszy mój
rewolwer, przez moje ramię mierzyła do
zbliżających się kozaków a ja tymczasem
pędziłem co sił ku swoim. Oddział cały
tymczasem nadbiegł i odparł kozaków, a
przed większą ich siłą która się w galopie
zbliżała, poczciwe konie nas uniosły. —

Dotąd jestem zdumiony jak Pani C. potrafiła tak zręcznie wskoczyć (na mego konia; bo ja tylko tyle jej w tem pomogłem, że ustąpiłem jej strzemię na którem mogła siadając oprzeć nogę. —

Wędrówka ta nasza nie trwała długo, bo od Bożego Narodzenia do 20^{go} mniej-więcej stycznia lecz napadów w tym krótkim czasie było pełno. —

Pod Michowem w jakiejś wiosce zatrzymawszy się na chwilę dla wypicia po kieliszku wódki, ujrzeliśmy się nagle otoczeni prawie przez tłumy, dragonów, ułanów i kozaków. Półgodzinna jazda już nie galopem ale „ventre à terre" dopiero powiększyła o tyle odległość pomiędzy nami a pogonią żeśmy mogli dać koniom spoczynek. —

W tej przygodzie o mało nie zostawiliśmy Cwicha, nie spostrzegłszy się że on

wszedł z Gromejką do karczmy. Gdy wjechali na nam inną drogę i przejeżdżali koło jakiegoś odosobnionego domku, Gromejko pędzący tuż za Cwickiem wywijając szablą krzyknął przez figle: „nie ujdziesz!” W tem kobieta znajdująca się na progu tego domu rzuciła się tak gwałtownie przed konia Gromejki że ten o mało z siodła wysadzonym nie został. Gdyby to był prawdziwy Moskal, za jakiego widać go wzięła, byłaby drogo przypłaciła swe dobre serce. —

W jakiejś kolonii niemieckiej w Lubartowskiem (w Maydanie) napadli mnie kozacy objeżdżającego pikiety i prawie razem ze mną wpadli do wsi. Dobre nogi naszych koni i tu nas ocaliły. —

Cwick cierpiący, gdzieś pozostał. Gromejko także, my błąkaliśmy się dalej pomiędzy polującemi na nas oddziałami, które wi-

dząc że w tej szczupłej garstce znajduje się Krysiński tem uparciej nas ścigały. —

Najtrudniejsze jednak nasze położenie było w Sernikach nad Wieprzem. —

W wigilię Nowego roku wieczorem staneliśmy na Tartaku w dobrach Lubartowskich z kąd ~~przededniem~~ w nocy poszliśmy do Sernik, i przededniem tu stanęli. —

„Trafiacie panowie na resztki po moskalach, jeszcze samowar po nich nie ostygł, poszli do Lubartowa, niewiem czy uszli pół mili" — rzekł do nas tamtejszy rządca wychodząc na ganek. —

Zdawało nam się rzeczą arcy-bezpieczną być na tyłach nieprzyjaciela. Skoro byli tu dopiero, więc może nie przyjdą tak prędko. Część nas weszła do domu, część stała przy koniach, i potem zmieniliśmy się. W tej drugiej połowie ja byłem i za-

ledwie dotknąłem się herbaty rozmawiając z dawnym naszym polowym aptekarzem Sobolewskim który tylko co wyszedł z Kryjówki i przypasując szablę zabierał się nam towarzyszyć, gdy padł strzał. Wybiegliśmy na ganek, kozacy już byli na podwórzu, nie zdążywszy jeszcze wsiąść na koń musieliśmy już strzelać z rewolwerów i karabinków. — Szczęściem że garstka nasza składała się z ludzi już obznajomionych z niebezpieczeństwami, zawsze więc pierwsze uderzenie nieprzyjaciela było odparte i w najgorszym razie dawało czas do ucieczki. — Tak i tu się zrobiło, kozacy zostali wyparci z podwórza. — Kryjińskiemu podano konia, ruszyliśmy przez murowaną bramę prowadzącą w okólnik z którego znów wrota wychodziły na pole. Dopadł do nich Piszczatowski z mej bandy i otworzył je lecz za-

zaledwie do połowy gdyż były zamarznięte. Nieprzyjacielska jazda już była na podwórzu koło dworku rządcy, piechota kłusem zabiegała nam drogę, pomimo to muszę przyznać na pochwałę naszych że przejeżdżali porządnie po jednemu. Krysińskiemu zostawili miejsce, on zaś go nie przyjął i czekał aż ostatni przejedzie (:) Były więc nawet, to co Moskale nazywają: „polskie ceremonie" – tym razem jednak prawdziwie piękne. Tymczasem już nie minuta lecz sekunda każda była drogą, wrota w mgnieniu oka mogły być zajęte, a i tak już strzały wszystkie piechoty rossyjskiej były na nie skierowane. Na widok fornalki zaprzężonej stojącej w okólniku przyszła mi myśl aby wpędzić ją w bramę murowaną i tym sposobem choć na chwilę opóźnić wtargnięcie jazdy na

(:) Autor przez znaną swoją skromność nie dodaje że on był ostatnim

okolnik, zacząłem więc płazować konie, lecz już było zapóźno, dragoni już byli w bramie. Tymczasem nasz ostatni przejeżdżał przez wrota. Pospieszyłem za swymi, we wrotach już była walka z piechotą i jazda do nich dopadała. Z prawej natarł na mnie kozak, z lewej oficer dragoński, jak się później pokazało major, dowódca tego oddziału. Z całej siły palnąłem kozaka w baranią czapkę, pochylił się na kark konia, lecz z dragonem byłoby źle bo miałem go po lewej, gdyby nie Markiewicz który pomimo że sam przedzierał się wtedy przez piechotę, jednak zwrócił się i strzałem z karabinka, o dwa kroki, roztrzaskał głowę owego majora. To zrobiło pewną dywersyę na naszą korzyść. O ile mi się zdawało, byłem ostatni, wskoczyłem we wrota pomiędzy piechotę rąbiąc na prawo i na lewo, a raczej odpychając szablą bagnety wśród krzyku moskali „koli,

koli!... Otrzymałem pchnięcie w prawą nogę nad kolanem, Dosia zaś dwa, jedno w szyję, drugie w łopatkę, lecz dała tym większego szczupaka i wyniosła mnie z biedy. Za nami posypały się kule i pogoń łętnęła. Dopędziłem naszych i znaleźliśmy się nad rowem a raczej kanałem tak szerokim że konie nasze przesadziły go wprawdzie, lecz nieprzyjacielski ani jeden, więc pogoń ustała.
Mówiono mi później że o kilkaset kroków z tamtąd był most, szczęściem nie widzieliśmy go po ciemku, bo bylibyśmy i nieprzyjacielowi drogę wskazali.
Jednak pędziliśmy galopem aż do lasu a dalej kłusem do Brzostówki. Tu tylko na chwilę zatrzymaliśmy się dla powzięcia wiadomości, nie zsiadając z koni i udali się do lasu gdzie obiecano nam przysłać

 104

przekąskę i owies. Tu także mnie i Kamińskiemu dano garść szarpi i flaszkę z lekarstwem do ran naszych i Dosi. — Brakowało nas ośmiu, zostało z piętnastu. W lesie zsiedliśmy z koni, opatrzyli rany i czekali na posiłek, połowa jednak stała na pikietach. Gdy posiłek przybył przekąsiliśmy i moja banda poszła na pikiety, aby tamci mogli cokolwiek przejeść. To znów owało mnie nie zgubiło. (tak mi się zdawało) Za chwilę ozwało się złowrogie i charakterystyczne krakanie, co znaczyło nieprzyjaciela. Rzucamy się do koni, moja Dosia jak zwykle luzem puszczona przysała do ręki, lecz kiedym się chciał wznieść na strzemieniu ból w wranie obezwładnił nogę, chcąc się wznieść rękami uraziłem Dosię która się spięła, skoczyła i popędziła za innymi, ja upadłem. Mojej bandy nie było, miałem się za zgu-

zgubionego. Wprawdzie Marcinkowski z Kło-
czewa podjechał ku mnie dając znak bym
skoczył na jego konia, lecz ja ledwie mo-
głem uklęknąć na prawą nogę tak mi
zdrętwiała. Powiedziałem mu więc: „Bóg
„zapłać, jedź!" i popełzałem na ~~b~~bok.
Po krótkiej chwili władza w nodze wró-
ciła, mogłem stanąć. Tysiąc myśli prze-
leciało mi przez głowę. Uchodzić w las
rzadki bo bez liści, zostawiając ślady po
sobie na śniegu, nie prowadziło do ni-
czego. Stanąłem więc za grubym dębem
z rewolwerem w lewej a szablą w prawej
ręce i poleciwszy się Bogu, pomyślawszy
o Ojcu i siostrze czekałem. Nadziei oca-
lenia nie było, tylko przyszedł mi na
myśl jeden nieprawdopodobny sposób wyj-
ścia z tego położenia. Jeżeli pojedynczy
kozak wysunie ~~wysunie~~ się naprzód, to

palnąć mu w bliską metę w łeb, schwycić konia, skoczyć nań i zmykać, lecz na to trzeba było szczególniej szczęśliwego zbiegu okoliczności a jeszcze z chorą nogą owe szybkie wskoczenie na konia było więcej jak wątpliwem.—

Wtenczas przekonałem się dowodnie że w jednej sekundzie może przesunąć się przez myśl obraz całego życia z najdrobniejszemi szczegółami, wszystko staje w oczach jednocześnie, a jednak, jedno nie zaciera drugiego i wszystko jest wyraźne.—

Posłyszałem tentent, między drzewami ukazał się jeździec, sam jeden.— Spuściłem szablę na temblak i wziąłem w prawą rewolwer, przyczaiwszy się za drzewem.—

„Wiwat! widzę butelki!" zawołał nieznany kozak. Zdało mi się żem się narodził i wyskoczywszy z za drzewa, tak

przestraszyłem nowo przybyłego, że ten przed chwilą oczyma wywinął mi szablą młynka. Za nim trzech jeszcze się ukazało. Byli to nasi którzy przez jakiś płot z Serwik się wydostali. Brakowało nam jednak czterech między którymi z mej bandy Paszkowski, który padł ranny i został wzięty i Hanytkiewicz któremu ów koń tupiący w Galicyi tak się zaciął że nie mógł wyjechać z folwarku.

Zaledwie nowo przybyli zsiedli z koni aby się posilić resztkami pozostałemi na placu, gdy usłyszeliśmy tentent i nim zdążyliśmy siąść na koń, ukazał się w galopie Turaliński, Markiewicz, Franciszek, Pester i Piszczatowski oraz Dosia t. j. wszystko co pozostało z mej bandy. —

Nie miałem im dość podziękować za troskliwość o mnie, lecz Dosię miałem

ochotę za uszy wytargać. Zjadłszy co było i popasłszy konie puściliśmy się za Krysińskim i dognali go w lasach Łęczyńskich koło smolarni zwanej Skarbnica. —

Jednak powiedziałem swoim morał: „Gdyby to byli kozacy to pocóż narażać jeszcze „pięciu ludzi, kiedy i tak bylibyście mnie „nie uratowali.“ „Ba! nie trzeba mówić, „kto tam wie na jaką trafi godzinę — odpowiedział Turaliński — „a ten bestya Tatar „sam jeden i ze środka całego oddziału potrafił wydostać dwóch rannych z pod Rososza! a co! Póki człowiek ma siłę w „jednym palcu to jeszcze nie przegrał, bo „może przyjść jedna taka godzina że het, „precz, kruczom! wszystko odmieni.“ —

Na Skarbnicy powitano nas wesołem „hurra!

W ten sposób ciągle tropieni, ścigani, napadani przeszliśmy, kołując okolice Chełmskie,

i Hrubieszowskie. — Lubo rok już przeszło trwało powstanie jednak przekonałem się że była w Hrubieszowskim miejscowość gdzie nie widziano dotąd powstańców. — Jechałem w przedniej straży i spostrzegłem jakiegoś człowieka czającego się w krzakach. Dałem mu znak aby się zbliżył lecz on zaczął uciekać. Zmierzyłem doń z rewolweru. Ten argument przekonał go, zbliżył się, był to staruszek który gdym doń przemówił po polsku rozpłakał się z rozczulenia i zaczął całować Dosię. — Opowiedział mi że jest dawnym wojskowym polskim, że właśnie kładł trutki na lisy i że dotąd nie spotkał powstańców. — Taki traf mógł się tylko w tak bezleśnej zdarzyć okolicy. —

Stanęliśmy nareszcie nad granicą

Krysiński oświadczył nam że przechodzi do Galicyi, polecił abyśmy to samo lecz nie gromadnie zrobili, dał nam adressa kilku obywateli za pomocą których będziemy mogli z nim się kommunikować, siadł do powozu z jakimś miejscowym obywatelem i pojechał — wyraziwszy nadzieję że z wiosną znów się razem znajdziemy. —

Posuwaliśmy się nad granicą ku zachodowi w zamiarze przechodzenia po kilku, lecz nie był to jeszcze koniec naszej wojaczki. —

Dragoni z Dołhobyczowa napadli nas w jakiejś wiosce. Pewien francuz którego Cwick gdzieś wynalazł i który z nami wojażował, padł z głową rozciętą z ręki oficera. Etner straciwszy konia, na kułaki walczył z jakimś dragonem któ-

którego udało mu się zciągnąć z konia w zamięszaniu. Nareszcie przy pomocy jednego z towarzyszy dosiadł owego konia i ocalał. —

Uciekaliśmy aż do lasu niedaleko Posadowa, tam ukryci koło leśniczówki doczekaliśmy się nocy i ~~[illegible]~~ pod przewodnictwem leśnika przejechaliśmy granicę konno i zbrojno tuż pod strażą objeżczyków. Pożegnałem więc kraj nie wiedząc że na długo, ale przeczuwałem już tę alternatywę. —

Stanęliśmy w Ulhówku w Galicyi, tu złożyli naszą broń i przemyśliwali co dalej począć. Ja naturalnie ku Łańcutowi dążyć postanowiłem. Poradzono mi abym się rozmówił z jakimś panem którego nazwiska niepamiętam a który należąc do organizacyi powstańczej najlepiej

potrafi się zająć losem naszych ludzi.
Kamiński tymczasem z tymi co byli pod
jego komendą pojechał w inne miejsce
gdzie miał już znajomości zostało mi
więc tylko na głowie pięciu to jest moja
banda a i z tej Pester oświadczył że
do swej ojczyzny wraca. — „A masz
„pieniądze na drogę?“ spytałem go. „Jest
„trochę chwała Bogu — odpowiedział mi z pol-
„ska po węgiersku — najwięcej się pożywiłem
„na tym koniu com go wziął pod Hutą
„Krzeszowską, było tam w kulbace 240 rs.“
„— No! toś bogatszy odemnie“ rzekłem. —
Pozostało mi więc jeszcze czterech moich
i Jaszczółd który koniecznie chciał ze
mną czas jakiś zostać aby się do Ruskiej
Rawy przy sposobności dostać. —
Po rozmowie z innymi moimi kolega-
mi pokazało się że wszyscy są bogatsi

odemnie. Franciszek obłowił się pod Sajówką. Markiewicz pod Rososzem. Pieszczatowski pod Kolanem a Turaliński najwięcej w Momotach na owym oficerze kozackim który zabił mego Bełna. Jaszczółd co miał, to tylko z domu, nie mógł on choćby chciał tak szybko jak inni zeskoczyć z konia i obrewidować swoją ofiarę gdyż miał obie nogi sparaliżowane i z wielką trudnością chodził, lubo na koniu siedział dobrze, a strzelał po mistrzowsku. —

Pożegnanie nasze było serdeczne, tak jak między ludźmi którzy wspólnie wiele biedy przeszli i z których każdy drugiemu życie uratował lub zawdzięczał. Wątpiliśmy czy się zobaczymy, jednak jeszcze spotkać się mieliśmy.

Moi ludzie różnemi drogami udali się w okolice Łańcuta i Rzeszowa, opatrzeni w listy rekomendacyjne. Dałem im mój adres do Łańcuta i do Piskorowic aby w razie potrzeby znaleść mnie mogli. —

Przy ostatniem uściśnieniu ręki, Turaliński odezwał się: „Prosilibyśmy
„ jeszcze pana porucznika o jedną łaskę
„ żeby nam zechciał dać zaświadczenie
„ żeśmy nie żadne niechińcy i żeśmy
„ służbę jak się należy pełnili." —

— „Moi kochani — odpowiedziałem — nie
„ mam ani pieczęci, ani blankietu, ale
„ skoro chcecie napiszę Wam. Może kto
„ na słowo uwierzy." —

I napisałem każdemu z nich co następuje: —

„ Ja niżej podpisany A. A, właściciel majątku

„A. w powiecie A. guberni A, pełnią-
„cy obowiązki podporucznika w polskiem
„powstańczem wojsku, zaświadczam
„niniejszem, jako okaziciel niniejsze-
„go AA były żołnierz wojska A, słu-
„żył przez ~~len~~ czas powstania pod
„moją komendą i sprawował się jak
„na wzorowego żołnierza przystoi, to
„jest przez czas służby ani razu obo-
„wiązkom i honorowi żołnierza nie
„uchybił. — Że to co napisałem jest
„prawdą świadczę się sumieniem i
„stwierdzam to słowem honoru. —
„Tak mi dopomóż Panie Boże. —
„Świadectw podobnych oprócz niniej-
„szego wydałem jeszcze trzy, a mia-
„nowicie AA, AA, i AA. —

Na końcu był rysopis szczegółowy.
Jeszcześmy się serdecznie uściskali,

Turaliński pojechał z Piszczatowskim, a Markiewicz z Franciszkiem. —
Ja zaś z Jeszczórdem kupiwszy sobie sanki zaprzęgliśmy do nich nasze konie i pojechali do Potoka. Dosia moja zdawała się obrażoną że ją zaprzągłem, lecz to za zdradę pod Brzostówką, powiedziałem jej. —
W Potoku, u pani Papara zabawiliśmy dni kilka — Jeszczórd pojechał do Rawy ruskiej, a ja rozpocząłem po nad granicą wojaż do Pikorowie. Z Dosią pożegnałem się ze szczerą łzą w oku i błagałem Pani Papara aby jej dobrze było. — Jej już nie miałem zobaczyć. — Ile się może wyrobić przywiązania w człowieku do zwierzęcia, choć w tym stopniu może tylko do konia, ten tylko umie-

rzy kto spróbował wojaczki i to takiej gdzie często tylko samemu sobie jest się zostawionym; samemu sobie i swemu koniowi. —

Za towarzyszkę podróży losy przeznaczyły mi pannę Julię Turską, którą jako kuryerkę widywałem w Królestwie. Było to dla mnie bardzo szczęśliwie bo panna Turska znała okolicę, zresztą jadących z kobietą mniej podejrzewały władze i policya.

Zresztą była to osoba przyzwoita i dobrze wychowana, więc uprzyjemniła kilkodniową podróż. —

Różnie przyjmowani dobiliśmy się nareszcie nad San. W jakiejś wsi pożegnałem moją towarzyszkę. Ona podążyła niepamiętam gdzie, ja zaś do Piskorowic, gdzie serdecznie,

jak stary znajomy o którego ocaleniu się powątpiewało, zostałem powitany. —

Tu zastałem listy, pieniądze i garderobę przysłane mi przez Ojca, co mi się bardzo przydało. —

Nie mogłem jednak długo bawić w Piskorowicach, a mając kartę na pobyt w powiecie Łańcuckim tam podążyłem, tem bardziej że naczelnikiem był tam p: Kronstein, człek bardzo zacny. Żona jego, Węgierka, była wielką przyjaciółką Polaków i jej głównie zawdzięczaliśmy dobre dla nas usposobienie męża. —

Pan Olszewski, dawny znajomy ulokował mnie na folwarku Wólce o dwie wersty od miasteczka u ekonoma, pana Gadzińskiego. Było to jednak ekonom wielkiego majątku, a zatem wyglądał

na quasi rządcę. —

Poczciwi ci ludzie robili co mogli nie tylko aby mi na niczem nie zbywało, lecz jeszcze aby mi czas się nie dłużył. Że zaś z mej strony, aby choć łcokolwiek być im użytecznym, gospodarowałem z p. Gadzińskim i wyręczałem go w rachunkach, uczyłem dzieci za panią i rysowałem desenie i przepisywałem wiersze pannie, ich kuzynce. —

Tak upływał miesiąc bez żadnej o Krysińskim wiadomości. Otrzymałem tylko wiadomość od Turalińskiego o wszystkich moich. Donosił mi że wszyscy są ulokowani blisko siebie i nie daleko Rzeszowa, pomagają w dworze gospodarczym i oprócz utrzymania pobierają nawet małe pensyjki.

Zatęskniłem do nich, a ponieważ zbliżały się ostatki, zaproponowałem listownie Turalińskiemu aby jeżeli to jest możebnem, zebrał całą bandę i przyjechał na ostatni wtorek do Rzeszowa i sam tam się udałem. Już na dworcu kolei czekali na mnie towarzysze broni, i nie zważając na obecność Austryaków, na powitanie moje odpowiedzieli chórem: „Zdrowia życzymy panu porucznikowi!“ — Przepędziłem z nimi dzień cały i nagawędziliśmy się o starych dziejach. — Chcąc pojąć tę moją przyjemność trzeba pamiętać że każdemu z nich byłem winien życie. —

Pomimo konsystencyi wojska, powstańcy używali w Rzeszowie wielkiej swobody, mieli swoją władzę, adwokata Zbyszewskiego, ubodzy byli rozkwatero-

rozkwaterowani i żywieni przez mieszkańców. Dowiedziałem się w Rzeszowie że Krysiński jeszcze nie zaraz ~~ale~~ ma wkroczyć do Królestwa a tymczasem cały prawie jego oddział znajduje się w Rzeszowie lub okolicy, to jest przynajmniej wszyscy surdutowi bo lud prosty nie wychodził za granicę tylko wracał do domu spokojnie. Słowem było tam przeszło 200 a może do 300 od Krysińskiego. —

„Słuchajcie chłopcy! pójdziemy jeszcze „na wojnę?“ spytałem owich czterech „A jakże p. poruczniku!“ — „A czy „moglibyście trzymać tam u siebie „konie?“ — „Jak najlepiej p. porucz:“ „A żeby tak sprowadzić nasze konie, co?“ — „Choćby dziś p: porucz!“ — „A kto „pojedzie po nie?“ — „Kogo p: porucz-

 113

„nik posłe!" —
— „No to pojedzie Markiewicz, on naj-
„starszy to nie wezmą go za powstańca" —
„Dobrze"? — „Bardzo dobrze p. poruczn."
— „Więc słuchaj"! — „Słucham p. porucz." —
— „Pojedziesz do domu, opowiesz się, żeby
„nie myśleli żeś uciekł, pojedziesz do
„Ulhówka zabierzesz tam naszą broń i
„nasze cztery konie, każesz zrobić pakę
„do fortepianu, włożysz w nią broń i
„nasypiesz owsa, kupisz szleje na pięć
„koni i wszystko co potrzeba, pojedziesz
„do Potoka zabierzesz Dosię i w pięć koni
„niby to z fortepianem będziesz jechał
„na powrót, reszta już na twojej głowie." —
— „Słucham p. porucznika!" —
Wróciłem do Wilki kontynuować sielankę.
Towarzysze jednak w Rzeszowie namawiali
mnie, abym korzystał z życzliwości naczel-

naczelnika powiatu i starał się przenieść do Rzeszowa. Postanowiłem spróbować i wracając zatrzymałem się przed powiatem w Łańcucie, kiedym wysiadał przed gmachem urzędu powiatowego spostrzegłem w lufciku głowę p: Kronsteina. Poszedłem na górę i zameldowałem się do niego. Urzędnik siedzący w pierwszym pokoju z tajemniczym uśmiechem powiedział mi że naczelnik jest i czeka nawet na mnie; to mnie zdziwiło — Wszedłem nie było nikogo. Czekałem tak długo, że znudzony zacząłem się przechadzać i przyglądać książkom i papierom leżącym na biórku. Oczy moje padły na papier jakby umyślnie na widoku osobno leżący i na tym papierze spostrzegłem mo-

je nazwisko podkreślone czerwonym ołówkiem. Nieznajomość moja wystarczyła na tyle że przeczytawszy: „1000 „gulden .... sogleich .... nach Olmütz" zrozumiałem iż jeżeli nie złożę 1000 reńskich kaucyi będę internowany w Ołomuńcu. Zrozumiałem również dla czego nie mogę się doczekać p: Naczelnika. Wyszedłem natychmiast powiedziawszy temu samemu urzędnikowi że zaraz wrócę na co on się z niedowierzaniem uśmiechnął, wpadłem do Wólki pożegnać moich gospodarzy i zabrać swe rzeczy i z powrotem tą samą furmanką nie czekając godziny pociągu pojechałem do Rzeszowa korzystać z tamtejszych swobód. —

Pobyt mój w Rzeszowie trwał 3—4 tygodni. Przez ten czas dowiedziałem się że Krysiński w dniu 1 punkcie oznaczonym

wejście do Królestwa. Zanim jednak nadszedł ów termin, spadła na nas bardzo smutna wiadomość: Stan oblężenia został ogłoszony w Galicyi — położenie więc szczególniej ubogszych i nie mających stosunków stało się trudnem i niebezpiecznem. —

Cały tłum powstańców z klassy niższej domagać się począł wkroczenia do Królestwa i nachodził wykształceńszych ludzi żądając aby go prowadzili. —

Jak na nieszczęście dowiadujemy się znowu że Kryciński w innym punkcie przechodzi granicę i poleca abyśmy gdzie można ją przeszli i z nim się łączyli. —

Na to wszystko zjawia się w Rzeszowie nowa komenda t: j: czwórka. Mar-

kiewicz melduje że konie i broń są przewiezione i ulokowane w pewnem miejscu blizko granicy. Cieszam go za to naturalnie, lecz dowiaduję się że nie można jak pragnąłem widzieć Dosi aż w chwili przejścia granicy gdyż na wsiach teraz trudna kommunikacya.

Rozmawiam z p. Zbyszewskim który twierdzi że jeżeli ludzie nasi nie przejdą granicy nie będzie można wstrzymać ich od starcia z władzami Austryackiemi które ich prześladują i aresztują. Zresztą że zawsze lepiej poprowadzić ich do Królestwa gdzie choć część ich w najgorszym razie ocaleje niż zostawić tu gdzie zrobią awanturę i zmarnieją.

Jako mieszkaniec Galicyi wolał on wojnę dalej od swego domu, pojmowałem to i sądziłem że jak najlepiej przygotuje po

wszystko abyśmy Galicyę opuścić mogli.
Przyszła wiadomość że Kryński wchodzi już, potem druga pewna że wszedł i pomknie się nad granicę aby się z nami połączyć. Dwustu przeszło z naszego oddziału zażądało abym ich prowadził. P. Zbyszewski powiedział że przewóz na Sanie gotów a że Sanem jest broń, dał marszrutę i przewodnika. Dzień oznaczono dzisiejszy, to jest że nocą wyjdzie małemi partyami cały tłum i dopiero w lesie się połączy.
Oświadczyłem powstańcom że dowództwa nad nimi nie obejmę, ponieważ chcę im być użytecznym, będę za kartą legitymacyjną daną mi przez pana Zby: jako: Ritter von Dobrzański jechał od dworu do dworu, torować im drogę i myśleć o ich potrzebach. Dowódcą zaś

naznaczyłem Grabowskiego, młodego chłopca sprytnego i energicznego który będzie ich prowadził manowcami i lasami.—

Dodałem Grabowskiemu moich czterech towarzyszy broni aby miał pomocników na których w każdym razie jak na czterech tuzy liczyć może.—

Ruszyliśmy — ja z Konstantynowiczem lekarzem naszego oddziału bryczką do Grębowa, Grabowski na czele oddziału piechotą do lasów Grębowskich.

W Grębowie stanęliśmy przed następną nocą, lecz tu czekał mnie zawód. Pan Dolański właściciel, oświadczył mi że przewóz był przygotowany, lecz Austryacy go znaleźli i zabrali, o czem on uwiadomił pana Zby: i to nie listownie lecz przez zaufaną osobę która wróciła po zakomunikowaniu tej wiadomości, że za-

zatem dziwi się bardzo jak pan Z. mógł nas wyprawić skoro bez przewozu San jest teraz nie do przebycia bo rozlany nadzwyczajnie, a wszystkie mosty strzeżone. —

Nie chcę być sędzią w tej sprawie lecz wszystko każe mi sądzić, że chciał on, nie pytając się o następstwa, bądź co bądź pozbyć się nas ze swego terrytoryum.

Nie czas było myśleć o winowajcy, lecz o tem co dalej począć. —

Zapytałem wprost o to pana D. który po namyśle dał mi taką bardzo śmiałą odpowiedź, która właśnie dla swej śmiałości miała warunki powodzenia:
„Jest nas dwustu kilkudziesięciu z tej stro-
„ny Sanu, a trzysta karabinów z ładun-
„kami z tamtej. Jadę natychmiast do
„Zaleszan do p: Konopki i na dwóch czy

117

„ trzech czółnach przeprawimy ze pomocą
„ ludzi zaufanych i zręcznych, broń na tę stro-
„ nę do lasów pod Zaleszanami. Wy tymcza-
„ sem tej samej nocy posuniecie się w te lasy.
„ Mając broń pójdziecie wprost na most, któ-
„ ry jest pod lasem na sto kroków do którego
„ więc nie postrzeżenie zbliżyć się można.
„ Mostu pilnuje 20–30 żołnierzy, bić się
„ z Wami nie będą i puszczą was, lecz nie
„ kontentując się możecie nawet wziąść ich
„ z sobą żeby znać nie dali do Radomyśla
„ gdzie stoi jazda która ścigać by was mo-
„ gła. Za godzinę marszu będziecie za gra-
„ nicą. Nie radziłbym wam tego gdyby nie
„ było stanu oblężenia, bo w skutek tego
„ mógłby być zaprowadzonym, ale skoro
„ już jest to ani wy, ani my nie mamy
„ nic do stracenia. — Każę zaprzęgać do
„ wozu, naładować go żywnością i niech

„Konstantynowicz jedzie do obozu powiado-
„mić o dalszem postępowaniu, pan zaś
„czekaj tu na mnie". —

Brawo! zawołałem i pan D. pojechał.
Wieczór spędziłem w towarzystwie pani D.
i jakiegoś oficera Czecha który miał po-
siadać talent odgadywania charakterów
z rodzaju pisma. Pokazałem mu kilka
listów i rzeczywiście bardzo dokładnie okre-
ślił mi charaktery osób przez które były
pisane. —

Nareszcie udałem się na spoczynek do
przeznaczonego mi pokoju, pierwszy raz
w ciągu powstania niespokojny bo pierwszy
raz miałem odpowiedzialność na głowie.

Wśród nocy zbudzony zostałem przez
starego lokaja który mi oświadczył że
pani chce się ze mną natychmiast wi-
dzieć. —

Dowiedziałem się że pewien oficer polak konsystujący w Rozwadowie ostrzega państwa D. że dzisiejszej nocy będzie rewizya w Grębowie. — Zapytany co myślę począć, odpowiedziałem że dla mnie pałac Grębowski jest miejscem równie lecz nie więcej niebezpiecznem jak każde inne, że idzie mi jedynie o to aby moim gospodarstwu za ich gościnność nie sprowadził jakiej nieprzyjemności, więc jako nieobeznany z miejscowością oddaję się pod jej rozkazy. —

Pani D. po namyśle i naradzie ze starym lokajem postanowiła że na tę noc udam się do jakiegoś więźnika któremu ufali. Zaprowadzić mnie do niego podjął się ón lokaj a ponieważ nie chciano przypuszczać do tajemnicy ogrodnika który miał klucz od furtki w murze, więc mieliśmy

przez mur się przedostać. —
Ponieważ nie wiedziałem gdzie i w jaki sposób czas mój u owego wieśniaka przepędzać będę, ponieważ nawet bardzo przypuszczałem że wprost od niego do obozu pójść mi wypadnie; więc przebrałem się w powstańczy uniform, pojmując że on mnie już teraz nie może kompromitować, gdyż więcej kompromitującemi będą nocne wędrówki i ukrywanie się w wieśniaczej chacie. —
I pożegnawszy panią D: poszedłem za owym lokajem. — Po kratce do rozpinania winogradu wdrapałem się na mur i kiedym ~~[illegible]~~ pomagał memu staremu przewodnikowi do zrobienia tego samego, usłyszałem: „halt!", ujrzałem kilku żołnierzy, kilka luf we mnie wymierzonych. Zostałem

więc schwytany. — Mógłem wprawdzie skryć się do ogrodu, lecz to by do niczego nie prowadziło tylko do skompromitowania państwa D. ogród bowiem był otoczony wszędzie murem, a po za tym murem przechadzały się straże wojskowe jak to ze świstawkowych sygnałów wnet się dowiedziałem. —

Popisywać się z kartą legitymacyjną na nic się również nie byłoby przydało gdyż Ritter von Dobrzański trudniej by jeszcze mógł wytłomaczyć pobyt swój na murze cudzego ogrodu jak powstaniec. —

Zaprowadzono mnie do miejscowego odwachu gdzie przed feldfeblem zeznałem iż jestem jednym z rozbitków którzy po świeżej potyczce nad granicą weszli do Galicyi, że nie mając gdzie schronić

się chciałem dostać się za mur i tam dnia doczekać. Pomimo zarzutów żołnierzy że przeciwnie z ogrodu wychodziłem, powtórzyłem moje pierwsze zeznanie i ono do protokółu wpisanem zostało. —

Rano pan D. wrócił i niby to dowiedziawszy się o aresztowaniu kogoś na jego gruncie posłał na odwach lokaja z zapytaniem czy czego nie potrzebuję, a potem prosił oficera by mi pozwolił przyjść na śniadanie, na co ten się zgodził. —

Ponieważ warta została w przedpokoju a potem nawet zupełnie wróciła do odwachu gdyż p. D. zaręczył za mnie, więc mogłem się dowiedzieć o losie jaki czeka mą biedną komendę. —

Wiadomości były niepomyślne:

Plan przez pana D. ułożony a który tak mi się podobał, był zniszczonym. Broń ukryta na prawym t. j. przeciwnym brzegu Sanu była znaleziona i zabrana przez władzę. — Nie było więc sposobu przejścia granicy, oddział nasz będący w lesie już także może być w tej chwili rozproszony lub aresztowany, gdyż wojska ruszyły się w jego kierunku. — Krysiński przeszedł lecz z małym bardzo tonnym oddziałkiem i puścił się w Podlaskie. Pan D. radził mi abym utrzymywał że lubo Polak jestem synem emigranta i poddanym francuzkim, gdyż słyszał o pogróżkach wydawania powstańców Moskalom. — Prosiłem go aby o ile możności starał się ulżyć losowi biednej mej komendy i powierzaj internowanie przez Austryaków było może tem co naj-

najlepszego spotkać ich mogło, aby zrobił co można dla uchronienia ich od wydania w ręce Moskali. Szczególniej ze łzami w głosie poleciłem mu moich czterech druhów, a na zakończenie prosiłem aby jeżeli będzie można wziął Dosię a także Indyka i trzy inne Kozę, Babę i Wilka. — Prośbę moją powtórzyłem również pani D. ufając więcej czulszemu kobiecemu sercu. —

Ponieważ dopiero po południu miałem być odesłany do Rozwadowa, więc po śniadaniu nastąpił obiad na który zjawił się jakiś inżenier z Rzeszowa, który zaproponował aby dla mnie i dla niego nakryto w pokoju gościnnym tym samym w którym miałem zamiar noc przepędzić, i aby na ten obiad zaproszono także feldfebla. Gospodarz

przystał na to, pomówił coś z inżenierem i zostawił nas samych a wkrótce zjawił się feldfebel i siedliśmy do stołu. Po obiedzie feldfebel, polak jak wszyscy prawie w tym pułku zwanym: „Rosbach" nabrał dobrego humoru, a inżenier zaproponował mi abym się przespał zanim chwila odjazdu nastanie, a gdy mnie i na migi do tego zachęcał zgodzi. Tem się udawać przynajmniej że śpię, domyslałem się bowiem że są jakieś projekta. —

Po chwili zacząłem chrapać i usłyszałem że inżynier ofiaruje feldfeblowi 100, 150 i 200 guldenów za ułatwienie mi ucieczki. Nic nie pomogło, nieprzekupiony feldfebel nie dał się skusić i dodał: „Nie mają państwo co się bać o niego, „wojskowi nie wydadzą go z pewnością

„bo to się gada tylko dla strachu, ale
„jeżeli się chce jeszcze lepiéj upewnić to
„niech mówi że jest innym poddanym
„nie rossyjskim. — Lepiéj jemu dajcie
„te pieniądze, bo może jest bez kraj-
„Cara. — Projekt więc się nie udał
lecz pozostała mi dla państwa D.
wdzięczność za ich dobre chęci dla mnie.

Rzeczy moje cywilne zostawiłem
w Grębowie a wziąłem z sobą jedy-
nie konny mantelzak z trochą bie-
lizny, i opatrzony w mnóstwo wiktua-
łów przez panią D. wymówiwszy się od
wszelkich innego rodzaju datków już
miałem siadać na wóz w cztery dzielne
konie zaprzężony gdy szukając cze-
goś w moim mantelzaku, znalazłem
paczkę zawierającą 300 guldenów w zło-
cie i list pani ofiarujący mi to jako

 122

pożyczkę do lepszych czasów. Zwróciłem dar z najserdeczniejszem podziękowaniem, a zachowałem list jako dowód że są jeszcze ludzie chcący szczerze bliźniemu dopomódz i prosiłem panią D. aby Łaski którem mnie obdarzać raczyła, zlała jeżeli będzie można na Dosię. —

Później jakaś emigracyjna polska gazetka wydawana w Dreznie, powodowana widocznie osobistością opisała tę całą moją przygodę w Grębowie, w prawdzie bez wymienienia naszych imion, dla znających miejscowe stosunki, bardzo wyraźnie, ubarwiła rzecz nie mądremi komentarzami i nadała całemu, tak zresztą zwykłemu w czasie powstania zdarzeniu, charakter skandaliku. —

Żywo dotknięty upomniałem się z Paryża o krzywdę ludzi którzy mi takie do-

dowody życzliwości dali. Z początku redaktor utrzymywał że wcale ani mnie, ani państwa D. nie miał na myśli, lecz przyparłem go jak to mówią do muru i widząc że niema innego wyjścia jak danie satysfakcyi lub odwołanie, wybrał to ostatnie i umieścił artykuł w którym przyznawał że był w błąd wprowadzony przez jednego ze swych korrespondentów. — Postarałem się aby ten artykuł i w innych pismach emigracyjnych był powtórzony. —

Wjazd mój do Rozwadowa był rodzajem tryumfu na małą skalę. Mieszkańcy widząc więźnia a po pięknych koniach, eleganckim furmanie i silnej bo z trzech żołnierzy złożonej straży wnosząc że to ważna jakaś

figura, wylegali z domów i składali mi dowody współczucia w postaci butelek wina, sera, kiełbasek parowych, bułek, a nawet bukietów z kwiatów doniczkowych. —

Tak obdarowany zajechałem przed bramę więzienia i po krótkich formalnościach ujrzałem się w gronie moich nowych towarzyszy. Rzuciwszy okiem po zgromadzeniu spotkałem twarz znajomą i sympatyczną, był to Gryglaszewski dowódca jazdy w oddziale Ćwicha, były oficer kozaków Sułtańskich, człowiek bardzo zacny i przyjemny. Miałem więc już towarzystwo, ten najważniejszy warunek w więzieniu. Kółko Gryglaszewskiego składali Jarosław Skotnicki i Zgliniecki dwaj obywatele z Sandomierskiego, tam się z nimi poznajomi-

tem, później spotkałem ich w Paryżu a z pierwszym z nich prawie cały czas mej emigracyi mieszkałem.

Resztę towarzystwa, byli to ludzie prości albo co gorzej udający nie prostych, na tych więc trzech ograniczyły się moje więzienne stosunki. —

W Rozwadowie więźniowie polityczni otrzymywali pożywienie ze dworu od właściciela Ks. Lubomirskiego. W skutek więc tej gościnności nie zbywało nam na niczem. —

Po kilku dniach pobytu w tem więzieniu wezwany zostałem wraz z kilkoma innymi aby zebrać swe rzeczy gdyż udamy się w drogę, później dopiero dowiedziałem się że celem podróży był Rzeszów.

Wędrówka od aresztu do aresztu trwała dwa czy trzy dni a noclegi nasz w

Sokołowie na zawsze pamiętnym mi zostanie. —

Na każdej nowej stacyi wymawiano się od dania nam posiłku tem, że na poprzedniej powinniśmy go byli otrzymać, a skoro nie, to otrzymamy na następnej. Chęć kupienia czegokolwiek za swe pieniądze nie wystarczała gdyż ani więźnia nie puścili, ani nikogo do niego; a że straży nikt pójść nie chciał, czy nie mógł. System taki gdy trwa za długo musi doprowadzić do desperacyi, tak więc było i z nami. — Po odmownej już może dziesiątej odpowiedzi, zaczęliśmy dopominać się głośno. Hałas usłyszano na ulicy i zebrał się tłum mieszczan którzy oświadczyli się z gotowością przyniesienia żywności więźniom, czego im zabroniono. Rozruch tak się zwiększył że oficer wszedł

do nas z kilkoma żołnierzami i oświadczył nam łamaną polszczyzną że: „dostaniemy po dwadzieścia pa-„tyków" za to że buntujemy mieszczan. Przyprowadzeni do rozpaczy chwycili-śmy polana drzewa leżące koło pieca i próżne butelki których stos leżał w kącie izby. Mieszczanie poparli nas z zewnątrz. Jedna ich część nawet z proboszczem na czele poszła na górę do naczelnika i zagroziła że deputacyę ich pojedzie natychmiast do Wiednia skarżyć się na złe obchodze-nie z więźniami którzy przeciw miej-scowemu rządowi nie zawinili i nie chcą nic innego tylko pożywienia nie za rządowe pieniądze. Druga zaś wdarła się do więzienia z żywnością i oświadczyła że bronić nas będzie

od gwałtu. Ten krok energiczny poskutkował, nie uwolnił nas jednak od pewnej kary, gdyż na drugi dzień, że dwie mile musieliśmy iść pieszo pomimo że chcieliśmy najęć furmanki i że nam je ofiarowano. —

Tak więc system więzienny Austryacki nie miłe zostawił mi wspomnienie, a gdym później zakosztował więzienia rossyjskiego bezwarunkowo przyznałem pierwszeństwo temu ostatniemu. Nie mówię tu o czasie trwania powstania, bo podówczas działy się w więzieniach ~~austr~~ rossyjskich okropności którym potomność może wierzyć nie zechce. Przekonany jestem że ze skompromitowanymi względem rządu obcego obchodzono by się nie gorzej w Rossyi jak z nami po skończeniu powstania. —

Przybyliśmy do Rzeszowa po ciemku i wprowadzono nas do więzienia o którego zapełnieniu słyszeliśmy w drodze. Jakież więc było nasze zdziwienie gdy przeszedłszy kilka izb nie spostrzegliśmy nikogo, a w ostatniej otwór w murze którym wszyscy lokatorowie się wynieśli. — Mieliśmy więc pomieszczenie, lubo owę ostatnią izbę zamknięto i oprócz zewnętrznej postawiono nam wewnętrzną wartę. —

Pomimo pogróżek wydawania Moskalom wyprawiono nas nazajutrz koleją do Krakowa. —

Tu w więzieniu pod telegrafem z balkonu wewnętrznego na który pozwalano nam wychodzić, ujrzałem na podwórzu w przechodzącej gromadzie więźniów, Franciszka, dowiedzieć się mogłem tylko tyle

że wszyscy czterej są razem, tylko że tamci trzej już poszli w. kolej i że jadą do Ołomuńca. — Gdybym był kilkoma minutami wcześniej wyszedł na ten ganek, byłbym przynajmniej ujrzał twarze wszystkich mych towarzyszów broni. —

Następnego dnia pojechaliśmy do Wiednia, gdzie tylko przenocowawszy wyprawieni zostaliśmy do Saltzburga. —

Tu władze austryackie pożegnały nas dawszy nam w rękę bilety do Monachium i dopilnowawszy abyśmy wsiedli do wagonów. —

Znalazłem się więc znów wolnym. —

W Monachium zabawiłem dni kilka dla zwiedzenia jego ciekawości i przepędzenia świąt Wielkanocnych. Znalazłem tu kilku znajomych, byłych oficerów rossyjskich. Jako wspomnienie dalekiej oj-

ojczyzny widzieliśmy święcone u jakiegoś Księdza Polaka także emigranta. —

Długo jednak nie można tu było bawić, udałem się więc z innymi znajomymi ku owej wieżcze wszystkich tułaczy, ku Francyi. Moi towarzysze postanowili czekać w Strasburgu na listy i pieniądze od swoich znajomych z Paryża, ja tylko dzień tu zabawiłem dla obejrzenia katedry i puściłem się do Paryża tej głównej kwatery emigrantów naszych.

Prawie bez grosza, za całe ubranie mając mój mundur powstańczy, w mantelzaku cokolwiek bielizny a w tłomoczy cygara, przyszedłem ze dworca piechotą do znajomego mi dawniej hotelu „Jacob", na ulicy „Jacob" № 44. Tu stara gospodyni rzuciła mi się na szyję, zaprosiła na obiad i pożyczyła pieniędzy

na pierwsze potrzeby. —

Tak rozpocząłem życie tułacze które z różnemi kolejami pięć kwartałów trwało.

Napisałem naturalnie zaraz do Ojca i do pana D. prosząc o przysłanie mi mej walizy oraz wiadomości o wszystkich którzy mnie interessowali. —

Niebawem nadeszły od Ojca pieniądze, od pana D. ubranie i wiadomość że moja Czwórka jest internowana w Ołomuńcu, konie zaś wszystkie kupione za bezcen na licytacyi poodstępował pan D. sąsiadom gdzie służą jako wierzchowce rządcom, ekonomom a nawet dziedzicom. — Dosia jest w Grębowie i jeździ na niej rządca, lecz pani D. wierna słowu, codzień ją odwiedza i cukrem własną ręką karmi. —

W kilka miesięcy otrzymałem z Grębowa nową wiadomość że moi czterej towa-

towarzysze zaciągnęli się do polskiego legionu jazdy który miał bronić w Meksyku sprawy Cesarza Maxymiliana i że tam już odpłynęli. —

Od tej pory nie o nich już nie wiedziałem pomimo że starałem się przez różne emigracyjne stosunki w Meksyku, otrzymać wiadomość. —

Po powrocie do kraju w 1865, przez znajomego, mieszkającego w Sandomierskiem bardzo blizko Grębowa, prosiłem o sprzedanie mi Dosi, lecz otrzymałem wiadomość że padła ofiarą karbunkułu który pięknej stajni pana D. wielką zadał klęskę. Młodociana córeczka Dosi, wtenczas jeszcze ssąca również padła. —

Koniec.

Bitwy i spotkania wymienione w tym pamiętniku.

Życiorys Ś.p. Jana Rostworowskiego -

Ś.p. Jan Rostworowski herbu Nałęcz, wywodził ród swój z Wielkopolski, gdzie jak niesie podanie, starożytna rodzina Czarnkowskich, od jednej ze swych ziemskich posiadłości Rostworowa, Rostworowskiemi zwać się poczęła. Niektórzy z nich, przenieśli się do Rzpltej, i tu również senatorskie zajmując krzesła. Jedna zaś ich linja, otrzymała prawem spadku po Firlejach i Leśniowolskich znaczne dobra ziemskie Kłoczów w Podlaskiem, i tam to w r. 1838, z ojca Juljana i matki Izabelli Orsetti * przyszedł na świat, autor załączonego tu pamiętnika. Określmy go kilku rysami człowieka, który acz skromne w społeczeństwie zajmował stanowisko, acz cichą, niewybitne przypadły mu w udziale społecznych obowiązków prace i czyny, znany i poniekąd głośny był w kraju i po za jego ojczystemi granicami, a ceniony i kochany wszędzie, gdzie go życie stawiało.

Zarówno ojciec jak matka, za główną podstawę w wycho-

* Rodzina Orsettich pochodząca z Rzpltej Lukańskiej we Włoszech na mocy piastowanych godności otrzymała od Ferdynanda II Cesarza tytuł hrabiowski, w r. 1658 osiadła w Polsce a Rzplta przyznała jej indygenat -

waniu syna jedynaka, położyli sobie, rozwinąć w nim poczucie obowiązku, miłości dla kraju i społeczeństwa, i w ogóle miłości człowieka. I nie zawiedli się w swem założeniu. Pierwsze nauki odbył z odznaczeniem w gi=mnazyum Lubelskiem, następnie zaś kurs rolniczy w Grignon pod Paryżem, gdzie jako uczeń i kolega, najlepszą pozostawił pamięć. W tym to czasie ojciec podupadłszy na zdrowiu i nie czując się na siłach pro=wadzić rozległe gospodarstwo i trudną dóbr swych admi=nistracyę, postanowił wycofać się z tej majętności i Kłoczów został sprzedany, dodajmy zaś, sprzedany po=śpiesznie i nader niekorzystnie. Poczem nabył dla syna w powiecie Włodawskim, sto włók taniej ziemi, przezna=czonej na rozparcelowanie, do czego z natury położenia i w danych warunkach, najwłaściwiej się nadawała. Zaledwie się tu ojciec z synem osiedlili, wybuchło powstanie, zwracając siłą rzeczy, młodego Jana na inne pola. Od tej to chwili rozpoczyna on swój pamiętnik, kreślony z tą szczerością i prostotą, jakie go cechowały.

Jak w zwierciadle odbija się tu człowiek cały. Nieugiętych, nieustraszonych nigdy przekonań, które raczej z uczuciem materyjnem wyssał, niż ich politycznym rozumem dociekł, daleki jednak od fanatyzmu i nienawiści, jak każdy, co swe idee, nie w ciasnych granicach narodowego egoizmu zawarł, lecz i szersze horyzonty ogólnego dobra ogarnia, szedł młody Jan do powstania, jak większa część ówczesnej młodzieży, bez wiary w to, na co się porywano, a z tą niemal, rozpędową siłą rozpaczy, z jaką się rzuca człowiek w przepaść, za ukochaną, ginącą istotą, i niósł swej ojczyźnie w ofierze na co go stać było: losy swe, trudy, i życie samo, nadmieniamy: w nader bardzo ciężkiej warcie, gdyż drobnej był postaci i niskiego wzrostu. Wszedłszy do oddziału i zaliczony do szeregowców 3-ej sekcji strzelców, a następnie wskutek odznaczenia się, objąwszy nad niemi komendę, ani więc fizyczną imponować postacią, ani życiowem lub wojennem doświadczeniem, górować jedynie moralną przewagą, a prowadził tych ludzi sercem szczerozłotem, jakie im okazywał w każdej okoliczności,

zapominając o sobie, gdy chodziło o losy ludzkie, surowym będąc dla siebie, skorym do pobłażliwego sądzenia innych, a nadewszystko szanując i podnosząc godność ludzką w każdym człowieku. Jako towarzysz łatwego przytem i wesołego humoru, nie lubiący szperać w ciemnych kartach życia, podnosząc raczej jasne i lepsze, w przeciwnościach wreszcie nie upadając nigdy na duchu, działał zawsze orzeźwiająco na otoczenie swoje, co sprawiało, że zarówno w zetknięciu z temi prostemi ludźmi, jak i gdzieindziej, w wyższych sferach w jakich się później obracał, mile był widziany i pożądany. Było z nim każdemu swojo i dobrze, więc w ślad za sobą żal zawsze zostawiał. Wierny służbie swej wojskowej aż do końca, lubo w opisie swoim nie szuka próżnej chwały, zapisał się wszędzie jak to, każdy co każe, w pamiętniku przebija jasnemi zgłoskami.

Gdy po emigracyi i powrocie swoim do kraju, osiadł na owym kawałku ziemi przez ojca nabytym, we wsi Zawadówce, w powiecie Włodawskim, zastawszy tu

najopłakańsze gospodarstwo rolne i nader trudne z rozzuchwalo=nemi włościanami stosunki, jedynie umiejętnością wy=chodzenia z niemi, taktem, umiarkowaniem i rzadką bez=stronnością w ocenieniu obopólnych potrzeb i korzyści, zdołał przeprowadzić najtrudniejsze regulacje gruntów, pełne rozlicznych zawikłań, i przez lat aż kilkanaście, aż do urzędo=wego jej zatwierdzenia, nie miał żadnych spraw z chłopami w sądzie gminnym, pomimo niejednego z ich strony na=dużycia, załatwiając się z niemi zawsze osobiście na miejscu.

Tu przypada ożenienie się ś.p. Jana z Rozalją z Wali=szewskich, córką właściciela dóbr Lubień w powiecie Włocław=skim, a siostrą znanego zaszczytnie w piśmiennictwie krajo=wem i zagranicznem Kazimierza Waliszewskiego, autora Sobiesciany, Katarzyny II, Piotra Wielkiego i innych history=cznych postaci

Wskutek rozparcelowania gruntów, mając już teraz niewielkie gospodarstwo, stąd małe pole zajęcia, a umysł czynny kwe=stjami rolnictwa i ekonomji społecznej żywo się zajmujący

wziął pióro do ręki, zasilając swemi artykułami „Gazetę Rolniczą" niebawem zaś ukazała się w druku pod godłem „Nil conscire sibi" jego rachunkowość rolnicza, na konkursie „Gazety Rolniczej" w r. 1889 za najlepszą z ubiegających się uznana i nagrodzona. Dawszy się bliżej poznać swym inteligentniejszym współobywatelom, powołany został w r. 1890 przez stowarzyszonych ziemian w Siedleckiem, na radcę Dyrekcji szczegółowej, gdzie wkrótce, zarówno sumienną a inteligentną pracą, jak i właściwym sobie wdziękiem obejścia i ujmującą dobrocią, zjednał sobie nietylko kolegów swoich lecz i całą biurową administrację, i gdy po latach kilku opuszczał Siedlce, wezwany przez Komitet warszawski, a osobiście przez Prezesa Ludwika Górskiego, do prowadzenia biura w Delegacji statystycznej, jaka się wówczas zawiązywała, żegnano go z serdecznym a prawdziwym żalem.

W Komitecie, w miarę jak się dawał poznać, budził ogólną sympatję, w szczególności zaś cieszył się życzliwością i serdeczną przyjaźnią Prezesa Lud. Górskiego z którym wiele wspólnych

łaczyło go pojąć. Z umysłem otwartym i wykształconym niósł on na to nowe pole pracy, jakie się przed nim teraz otwierało, mrówczą, niezmordowaną wytrwałość, a systematyczność w wykonaniu. Mało jednak siebie ważąc, skromny w obejściu nienarzucający się, nie wysuwał się nigdy naprzód wysoka zaś i nieżwykła, niemal, bezinteresowność, pomimo że nie był majętny, pozostawiały go zawsze w materjalnej mierności. Po paru latach ścisłej mozolnej pracy statystycznej w r. 1896, ~~[illegible]~~ wyszło w druku przez ś.p. Jana Rostworowskiego opracowane, pierwsze wydanie Wiadomości statystycznych, dotyczących dóbr obciążonych pożyczką Towarzystwa kred. ziemskiego, powitane w kołach interesujących się żywiej rozwojem ekonomicznym kraju z prawdziwem uznaniem, w Przeglądzie zaś polskim w Krakowie, trafnie i pochlebnie oceniona. Tymczasem niektórzy ze stowarzyszonych, z uwagi na obciążenie budżetu Towarzystwa kosztami utrzymania biura statystycznego, acz zredukowanego już teraz do osoby ś.p. Jana i jego pomocnika, z których pierwszy pozostawał na zwykłej pensji rady Dyrekcji szczegółowej

całorocznie czynnego, drugi, nadzwyczajnem wynagrodzeniem dyetarjusza, poczęło domagać się istnienia Delegacji, która też pod naciskiem opozycji, pomimo zdań odmiennych, uznała za stosowne zawiesić swą czynność do czasu nieograniczonego, a wówczas ś.p. radca, który gdy na jakiem polu pracował, to kładł w tę pracę całą swoją duszę, przekonany zresztą o pożyteczności zaczętego dzieła, nie chciał go przerywać, oświadczył ze zwykłą swą bezinteresownością, że gotów jest nadal, bez wynagrodzenia dział statystyczny prowadzić, na co się zgodzono; w dalszym więc ciągu pracował w statystyce do końca życia.

Niebawem przedstawiono ś.p. Janowi wakującą opiekę w Zapisie Łickiego, którą przyjąwszy, zabrał się do tych nowych obowiązków z całym zasobem swej niewyczerpanej gorliwości. Czekały go tu jednak nadspodziewane mozoły w uporządkowaniu nader zawikłanych z lat kilku rachunków. Poświęcał im teraz, nie tylko dnie całe, ale częstokroć i noce. I tak to niezwykłem przejęciem rzecz każdą prowadził.
Prócz biurowych bowiem a podwójnych teraz

obowiązkowych zajęć

miał jeszcze mnóstwo prywatnych, powierzonych sobie interesów do załatwienia, a nie widziano nigdy, żeby kiedy komu przysługi odmówił, lub ją zaniedbał. Wnosimy, że nadmiar pracy przy wątłym organizmie, wadą serca dotkniętym, przeciągnął jego siły i wyczerpał za wcześnie zdrowia, jakiem dotąd, względnie się cieszył. W ośm miesięcy, po objęciu nowego biura, poważnie już chory, jeszcze stawał do walki z niemocą swoją, wybierając się do Galicyi, gdzie z polecenia Rady Zarządzającej miał dokonać rachunków i sprzedaży lasów, zapisem objętych. Całej siły próśb i powag lekarskich użyć trzeba było, żeby go powstrzymać od tej podróży. Siłą woli, na żądanie swe, do dorożki wprowadzony, jechał jeszcze do ratusza po paszport, i dopiero stamtąd wróciwszy, uwierzył, że podróży zaniechać musi. Odtąd już stan jego nie budził nadziei. Wieść o niebezpieczeństwie a następnie o śmierci, wywołała zarówno w inteligentnych sferach jak i w najróżnorodniejszych warstwach społecznych, jednomyślnie, żal szczery za poczciwym i na wskroś dobrym człowiekiem, który szczerem sercem miłował ludzi bez wyjątku, i nawzajem był od nich bez wyjątku kochany.

134

Portrety Jana Rostworowskiego i jego żony Rozalji z Waliszewskich pozostawiły po śmierci córki Ewy w Domu Rekolekcyjnym SS Karmelitanek w Czernej koło Krzeszowic koło r. 1960

Maria Dąbrowska

Kraków 12/II 1969 r.

Jan Rostworowski (1838-1898).

Wspomnienia z roku 1863-1864

Kraków. 1900 s. 105

drukowane !

BJ 514.407 II

